

# TYGODNIK ILLUSTROWANY



STUDYUM

JAN REMBOWSKI



ANTONI POTOCKI:

## PRZESĄD PIĘKNA.

Gdy już wyznaczono sztuce miejsce w hierarchii pracowitego próżnowania, gdy uznano, że jest bezintenryczna i zabawna, należało jej jeszcze stworzyć Chochoła, którego już samo ukazanie wystarczyłoby rzeczom. Za Chochoła sztuki, samowładnie i nieomylnie rządzącego w jej płonem państwie, uznano t. z. Piękno.

Nikt do dziś dnia nie wie, co to jest piękno. Próżno Winkelman mierzył je geometrycznie na zewłoku sztuki greckiej, ono się z „proporcji” szczerze roześmiało w gębach pijackich Browera lub w głowiatej rzeźbie Rodina. Próżno zdrowy rozsądek zmyślał dowcipne przysłowia: „nie to piękne, co piękne, lecz co się komu podoba”, bo, chociaż niemały zastęp ludzki uspokoił się po tem określeniu, ale inni zakrzyknęli, że to trucizna, zaprotestowali i uciekli.

Nastąpiły liczne próby podparcia Chochoła piękna t. zw. atrybutami.

Więc kolejno przybyła w pomoc mu Harmonia, zaprzeczył zaś jej Dysonans. Potem wzniosłość oparła pustą głowę aż o Niebiosą, potem Prawda poszła w śmiertelny tan z Fikcją, potem rzewna staruszka Dobro rozrzewniała się nad *kopaniem buraków* lub *powrotem syna marnotrawnego*, aż nadciągnął huf Manfredów i Kainów, i staruszka zaniemówiła z przelęknienia.

Piękno—prawdziwe piękno, to jest Das Schön—owo piękno, urodzone w szlafmicy Baumgartena, a wypiastowane przez profesorskie ręce och! ilu wyjaśniaczy, pensjonowanych przez czułe dla piękna rządy monarchów, pruskich zwłaszcza—nie znalazło jednak do końca pewnego schronienia w estetyce. Coraz to je inaczej przebierano, a zawsze na nic były zachody krawieckie.

Nawet owe dawniej zwane „Sztuki Piękne” dziś obywają się bez epitetu i występują jako poprostu—Sztuka.

Coraz wyraźniej ludzie, posiwiali w znoju prac, czują, że owa wszechwładna ongi trójca Prawdy, Piękna i Dobra niczego im w gruncie nie wyjaśniła, jak wszystkie wogóle trójce. Pewien stopień zgodności z obyczajem, pewien stopień zgodności z doświadczeniem, pewien stopień zgodności ze zmysłami, i nic ponad to.

Ot, kategorye zmysłu praktycznego, które on wymienia dla krótkości tam, gdzie nie idzie narazie o szczegółową analizę zjawiska.

W Pięknie zaś—obok tej sumki zgodności, skromnej zresztą, z dotychczasowem doświadczeniem zmysłów—był pewien posmak omnipotencji wrażeń wzrokowych, na których zbyt wyłącznie ludzkość się opierała przez czas długi w swoich doświadczeniach?

Poza tem—nic, nic, coby nie było frazesem, hipotezą z hipotezy, fantazyą, tem karygodniejszą, że nawet bezskrzydła!

I zmarłoby się przesądowi piękna bezpotomnie, gdyby nie okoliczność, że czasem ten okrzyk, ale już nie w formie formułki, lecz właśnie okrzyku, wyrwa się nam na usta sam jak jakieś *Evohe!* lub *Evviva!*

„Ach, jakie to piękne!—wołamy przed Trybuną... „Piękna, piękna”—szepcą nieprzytomnie usta, ust ukochanej niesyte... „Piękne...”—wzdychamy przy ostatniej karcie poematu, który nam duszę rozszerzył.

Ale równie słusznie moglibyśmy wołać: „*Evohe, Evohe!!*”

Zdaje mi się, iż z Piękmem w sztuce powtórzyła się ta sama historia, co z Bogiem w moralności.

Na obraz i podobieństwo upodobań ludzkich stworzona idea rozrosła się kosztem ducha tak bardzo, że człowiek sam się uznał w końcu za stworzonego na jej obraz i podobieństwo. Dobroczyzna aż do pewnych granic fikcja w miarę postępu ducha stała się tegoż postępu zaporą.

I nielada wysiłku dusz trzeba było, by ją z tej drogi usunąć, gdyż na nic nie zdały się atrybuty i poprawki: to, co pełniło przez czas długi obowiązki absolutu, nie znosi podperek. I lepiej zgoła miejsca dawnym bogom przymnażać w Panteonach, niż je po targowisku naszych zmiennych sądów obnosić w odnowionych szatkach.

Być bardzo może, iż dawna owa helłeńska—wzrokowa—konceptcja piękna—nie tłumaczy nam własnego dorobku sztuki. Napewno nawet nie tłumaczy i części tego, co oni sami, w kształcie rozkochani snycerze życia, wyprorokowali. Lecz była to konceptcja żywa i mocna, w Apollinie, Afrodycie, Dyskobolu, kolumnie, świątyni uwieczniona. Czas większych objawień jest twórcą, niż Grecya, więc odsłonił nam i inne pierwiastki sztuki, nie żeby Grekom były nie znane (choć są i takie), lecz że innym epokom przypadło szukać im wyrazu, jak Grecya znalazła wyraz—Piękna.

Gdy Her Armeńczyk padł porażony—

Jutrzenek greckich różaną pogodę  
Duchy mu nagle ręką zasłoniły,  
A pokazały—jako świt daleki—  
Umiłowaną odtąd—i na wieki.

Prawda, że powieść o Herze, Plato pierwszy opowiada—więc w Grecyi już i t. d.

To nic: niech jednak Król-Duch prorokuje—wyprorokuje może jakiś... wariant świata:  
Morza się cofną, góry pójdą pyłem,  
I świat się komet deszczami zatruży,  
Gdy *duchem* spełnię, co *ciałem* spełniłem.

Evoe! Cudny śnie ucieleśniony Grecyi,  
spełniony ciałem śnie! Evoe! Sny niewyśnione—przyszłością dusz pełniące się sny!

Lecz wróćmy raz jeszcze do wszechobecnego przesądu piękna.

Gdy owa część ludzkości, której nie była daną łaska śródziemno-morskich dziedzin, ocknęła się do życia na swej rodzimej północy—poczęła w żarliwych kunsztach i usiłowaniach wyrażać siebie, nie dbając o żadne inne przykazanie, prócz boskiego „Stań się!”

Potem przyszły długie wieki zamętu i terminu, szkolnictwa i retoryki, północ uczyła się „na pamięć” formuł piękna, a co której formuły zdołano niepokornych terminatorów nauczyć, już trzeba było nowych poprawek, bo błąd tkwił w założeniu. Wreszcie i to przeminęło. Przeminięły—nie tak dawno—teorie o „słowie” dla „Słowian”, nieudolnych rzekomo „plastyki” odczuć, że

to słońce ich mniej gorące i mgły stoją na ugorach. I słońce błysnęło z obrazów Turnera, i mgły zagrały fantasmagoryą Moneta lub Whistlera! I oto znowu stanęła nie-śroziemnomorska ludzkość wobec siebie samej.

I znowu trzeba było pokoleń całych, by w żarliwej pracy usłyszeli boski rozkaz, w ich własnej duszy brzmiący: „Stań się!” A podobno jednym z największych zwycięstw sztuki nowożytnej było i jest właśnie odładnienie, odpięknienie wielu nazbyt rozkwitłych pustokwiatem piękna dziedzin twórczości. Przywrócono więc woli twórczej pierwotną jej swobodę.

I prawdziwie—jeśli jest jakieś Piękno jedyne, wszechobecne, wieczne—to chyba tylko swoboda—ta jedna Bogini, która nie każe czcicielom padać na kolana, lecz owszem, sama skrzydeł im przydaje!...

Sądzę, że nam wszystkim zamyślającym się w przedśionku sztuki nad istotą piękna—również ta jedna tylko droga stoi otworem bez żadnej zdrady. Bo, skoro twórcy tej swobody nieokiełznanej potrzebują w dziele tworzenia—my, ich dziełu wierni, w swobodzie ducha je podziwiamy.

Tu kładę palec na najbrzydszy z przesądów sztuki. Oto, niestety, czy brak sposobności łatwych, czy dziwna nieradność nasza, czy wprost niechlujstwo dusz sprawia, że o sztuce lubimy rozprawiać, lecz nie robimy większych wysiłków, by ją poznawać. Zdaje nam się, że po obejrzeniu paru wystaw czy reprodukcji w roczniku pisma—możemy już o „istocie” sztuki stanowić!

Do reszty zaś zaślepią nas t. zw. intelektualizm—ów specyficzny bezwład epoki, podstawiający t. zw. odczytanie na miejsce życia z dziełami sztuki.

I to jest najprzewrotniejsza przewrotnia przesądów i półmądrości, bo jakże łatwo łuskać cudze myśli, nie przeżywając nic, nic—a tylko leniwie rzeczy „rozumiejąc”!

Nie rozprawiajmy się „logiką” i „intelektem” z zagadnieniami sztuki, bo, jeśli gdzie tkwi treść, ponad wszelkie logiki duszę wiodąca—to właśnie w tej dziedzinie. Jeśli nie możemy żyć choć przez miesiące jakieś z arcydziełami sztuki, o których tyle rozprawiamy, jeśli nie możemy pielgrzymować do jej świętych miejsc, bo mniej w nas ducha, niż w lada kompanii, idącej do Częstochowy—to tu, w domu unośmyż czoła z nad bibuły, by własne skarby poznać.

Próbujmy żyć trochę ze światkiem w przydrożnej kaplicy, z krzyżem na Żmudzi, z zaciosanym na podgórzu sosrębem, z kaplicami po starych katedrach, z dworem modrzewiowym po zakąciach, z chałupą po wsiach, z obrazem poczerńiałym w zakrystyi, ze staroświeckim drzeworytem, z żółtką kartą inkunabuła, z miniaturą w bibliotece, ze zbroicą w muzeum, z wycinanką chłopską czy z nabijanym pasem, ze starym polonezem, bodaj z zegarem, wycinającym kuranty, byleby czasem z czemś, co żywym wrażeniem odgrodzi nas od nieszczęsnego tasiemca logicznych wywodów!

Bo więcej *życia* w starym zegarze, odchrząkującym, gdy zabiera się do wydzwaniania godzin, niż w niejednym z rozprawiających, których pełno wśród nas.



BOLESŁAW PRUS:

## Spiski polskie.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Dobra książka przypomina górę bogatą, gdzie można znaleźć źródła czystej wody, żyzne pastwiska, lasy, kamienie budowlane, pokłady węgla, rudy metaliczne i t. p. A każdy z owych materiałów na coś się przyda, zaspokoi jakąś potrzebę, rozumie się, pod warunkiem, że ludzie z użyteczności tej skorzystać potrafią.

Dwutomowe dzieło profesora i historyka S. Askenazego, p. t. „Łukasiński”, należy do tych dobrych, bogatych książek, z których wiele można dowiedzieć się i nauczyć, byle tylko czytelnik naprawdę chciał wyciągnąć z niej sens moralny, nie zaś sposób zabicia czasu, lub ozdobę swojej szafy bibliotecznej.

„Łukasiński” jest obrazem stosunków politycznych naszego kraju, od chwili utworzenia Królestwa Polskiego do roku prawie 1830. Widzimy tam rządy cesarza Aleksandra I-go i W. Ks. Konstantego, dobre zamiary i wielkie nadzieje, a potem ucisk i gwałty; tajne stowarzyszenia patriotów i tajną policję; Łukasińskiego z jednej, Nowosilcowa z drugiej strony, tudzież ich towarzyszy i pomocników. Czytelnik odgaduje, że, mówiąc o tem dziele, nie myślę go krytykować, do tego bowiem nie posiadam najmniejszych kwalifikacji. Prostu chcę z tej książki wydobyć pewną naukę, tę mianowicie, że z pomiędzy złych interesów, jakie zdarzają się na kuli ziemskiej, najgorszym interesem dla jednostek, jak i dla społeczeństwa, są—polskie spiski.

„Istnieje—pisze Askenazy—legenda o osobliwszem jakoby uzdolnieniu i skłonnościach polskich do tajnych dążeń i działań spiskowych... Jest to legenda fałszywa, która odwraca naopak najoczywistszą prawdę dziejową. Wszędzie łacniej dopatrzeć się potęgi czynników spiskowych, czy to na Wschodzie w Rosyi nowożytnej, czy na Zachodzie we Francyi, Szkocyi, Węgrzech, Hiszpanii lub we Włoszech... Nie nadaje się do tego sama natura polska, usposobienie narodowe indywidualistyczne, ekspansywne, otwarte, mowne, aż wpadające w łatwowierność i niekarność”...

A w innym miejscu, mówiąc o „jakobinizmie polskim” z końca XVIII wieku, Askenazy tak go charakteryzuje:

„Nie było wśród ówczesnych „jakobinów” polskich ani jednego wyższej miary człowieka; były tylko dwa gatunki ludzi: dusze gorące a głowy słabe, szczerze kochające sprawę na-

rodu i postępu, gotowi służyć jej z poświęceniem, lecz dobrze nie świadomi, jak służyć, ograniczeni, często niepoczytalni poczciwcy,—oraz prowadzący ich sugestyjnie na paszku warchoły, dyszący ambycją, zarozumieniem, zawiścią mściwą, lub chciwą żądzą załatwienia swoich porachunków domowych lub interesów, pod pokrywką zbawienia ojczyzny, prześladowcy i denuncjanci wszelkiego istotnego talentu i zasługi, nie tylko przed własnym społeczeństwem, lecz również przed obcym rządem, choćby z największą krzywdą dla narodu, byle utrzymać w garści wyłączny monopol prawdziwego patriotyzmu, monopol władzy nad nieszczęsną rzeczą publiczną”...

Tak było w końcu XVIII-go wieku, tak było w r. 1830, tak też w 1863-im, no... i nie chciałbym powiedzieć, że: tak jest i dzisiaj... Krzyczy się o szczęściu narodu, a spycha go się w otchłań cierpienia, byle utrzymać „monopol patriotyzmu”—„monopol władzy” nad poczciwym, ale dobrodusznym ogółem.

Wróćmy jednak do „Łukasińskiego”.

Ludzie przychodzą na świat z rozmaitemi skłonnościami: jeden dąży do sybarytyzmu, drugi do artyzmu; inny rodzi się na myślicie-la, inny ma pociąg do awantur i niebezpieczeństw, a jeszcze inny—do spisków. Łukasiński—jak świadczy o nim prof. Askenazy—był dzielnym, rozważnym, a nadewszystko

uczciwym patriotą; obok tego jednak—mojem może mylnem zdaniem—posiadał on grubą żyłkę do spisków. Był naprzód wolno-mularzem, potem dał się wciągnąć Prądyńskiemu i Umińskiemu do towarzystwa Kosynierów, następnie sam założył i kierował Towarzystwem Patriotycznym, a nareszcie—choć zakuty w kajdany, w więzieniu zamojskiem, jeszcze spiskował. „Zebrawszy ostatek sił—sam to pisze—chciałem uwolnić się i zrobić zamieszanie. Plan nie udał się, zostałem oddany pod sąd wojenny i skazany na rozstrzelanie. Uznałem wyrok sprawiedliwym i t. d.”...

Takim był główny bohater „sprawy Łukasińskiego”. Nie mam zamiaru sądzić, a tem mniej potępiać człowieka niezawodnie prawego, który stał się jednym z największych męczenników polskich (kilkadziesiąt lat przesiedział w Szliselburgu), a którego męczeństwo żadnych narodowi nie przyniosło owoców. Chcę tylko pokazać: w jaki sposób nieszczęsny ten spisek został przeprowadzony?

Czy istniały pobudki do niezadowolenia? Istniały. Należała do nich przedewszystkiem niezagojona rana w duszach: rozbiór Polski, a powtóre, należała do nich—reakcja w świeżo utworzonym Królestwie, reakcja, która spadała na żołnierzy, oficerów, generałów, urzędników, posłów, obywateli, niezbyt mnogich literatów, nawet na uczniów i studentów.

Jest to rzecz nie tylko zrozumiała, ale wprost konieczna, że — gdy istocie żyjącej (a więc i narodowi) dzieje się krzywda, pokrzywdzony dąży do poprawienia warunków swego bytu. Lecz, gdy rośliny, zwierzęta i niższe rasy ludzkie robią to w sposób natychmiastowy i automatyczny, wyższe, doskonalsze rasy ludzkie czynią to po namyśle, z rozważą, po zbadaniu: czy na zmianę mego bytu chwila jest odpowiednia? czy posiadam odpowiednie siły i narzędzia? czy działam we właściwym kierunku i we właściwym sposób?... Kto nie zadaje sobie tego rodzaju pytań, kto jasno nie postawi sobie celu, kto jak najstaranniej nie obrachuje możliwych skutków swoich działań, ten może być entuzjastą, może w piękny sposób wyrażać swoje „nastroje” i wykonywać interesujące „gesty”, ale nie może mieć pretensji do tytułu nie tylko działacza politycznego, lecz nawet: człowieka czynu...

Jest w książce: „Dzieje wojny żydowskiej” Józefa Flawiusza (przekład A. Niemojewskiego) cudowny ustęp, którego radbym nauczyć wszystkich naszych „polityków”. Oto w jaki sposób „działali” Rzymianie, już przed dwoma tysiącami lat: „Bitwą—mówi Flawiusz—nie kieruje przypadek, we wszystkich ich działaniach jest myśl... Dlatego rzadko



FRAGMENT MAŁEGO RYNKU W KRAKOWIE (NOCA)  
Z Salonu St. Kulikowskiego

ST. BAGIEŃSKI





OCZEKIWANIE POCHODU KORONACYJNEGO FERDYNANDA I IZABELLI KATOLICKICH W SEGOWII.

błądzą, a zbłądziwszy, łatwo naprawiają pomyłki. Nad przypadkową wygraną miłsza im niemal porażka, byle wszystko, co się stało, było owocem rozważań... Przekazanie powodzenia nie poczują sobie za zasługę, gdy tymczasem w razie klęski, choć ich zawiodły rachuby, pozostaje im ta pociecha, że przynajmniej działali rozważnie... (str. 224).

Tak przed 2,000 lat myśleli o „czynach” Rzymian; tak dziś myśli każdy polityk, co mówię?... każdy kupiec, każdy przemysłowiec europejski, ale, niestety! nie myślimy my, Polacy...

Łukasiński i jego towarzysze stawiali sobie za cel—odbudowanie państwa polskiego. Czy w owej epoce, w owych warunkach mogli to robić w zgodzie z rozsądkiem i sumieniem? Przecie wszyscy oni na własne oczy widzieli, że Napoleon zaatakował samą tylko Rosję wojskami całej Europy i—rozbił się o odległość, o klimat... Jakich więc potrzeba było armii na przeprowadzenie wojny zwycięskiej już nie tylko z Rosją, ale jeszcze z Prusami i Austrią?... Prawda, odbudowanie Polski leżało u spiskowców na dalszym planie, miało dokonać się przy pomocy Rosji; ale w takim razie z ową Rosją należało postępować całkiem inaczej, jak ze sprzymierzeńcem, nie jak z wrogiem. Tymczasem Łukasiński uzbierał się przeciw Rosji, pomimo niestęchanie charakterystycznej rozmowy, jaką przeprowadził z generałem Kosińskim.

„Połączenie Polski—mówi Kosiński—własnymi naszymi siłami jest niepodobieństwem, lecz któreż z mocarstw może nam być użyteczne? Austria i Prusy są nieprzyjaciółmi imienia Polaka. Rosja już nam coś przecie zrobiła; tejsy więc trzymać się należało. Trzeba zapomnieć krzywd, których doznaliśmy, wypada nawet nie zważać na to, co się dziś w Królestwie dzieje i co jest przyczyną uskarżania się; czas to wszystko załagodzi”... Do tych słów Kosińskiego dodał od siebie Łukasiński: „Byłem nieukontentowany z rządu, a jednak te uwagi generała Kosińskiego podobały mi się bardzo”... I mimo to spiskował!...

Kiedy Napoleon zwyciężał całą Europę, a w szczególności Prusy i Austrię, wówczas niewątpliwie mogły być wytworzyć się warun-

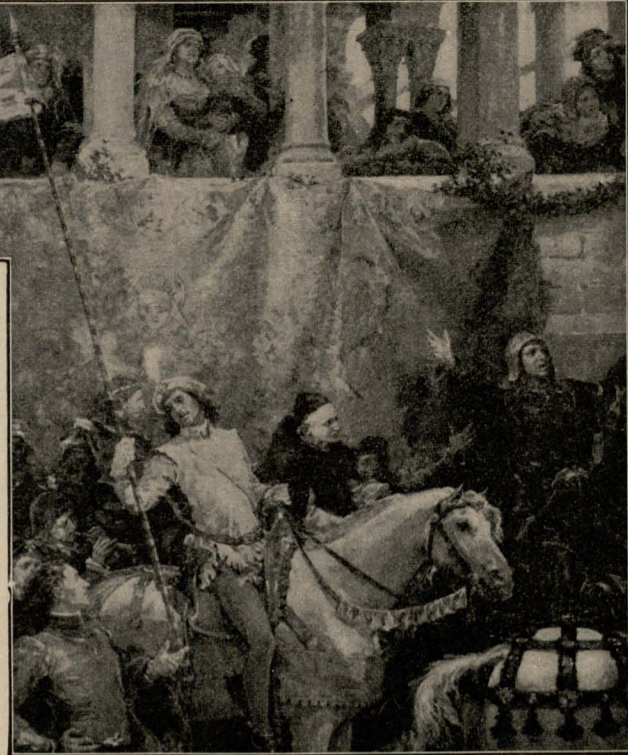
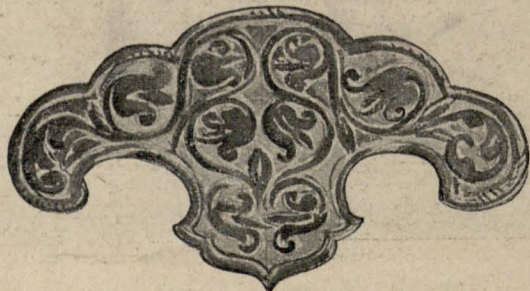
ki do podniesienia sprawy polskiej, a Polacy, łącząc się z nim, opierali się na jakimś prawdopodobieństwie, korzystali z „momentu”. Ale po roku 1815 reakcja zawiła nad całą Europą, a Rosja, Prusy i Austria w imię jej utworzyły ścisły związek, więc „momentu”, przychylnych okoliczności nie było. O tej jednak pierwszorzędnej stronie kwestyi spiskujący jakby nie wiedzieli... Zamiast sposobić się do wojny, z góry skazanej na klęskę, należało raczej myśleć o zbliżeniu się do rządu rosyjskiego, z nim porozumiewać się i układać. Lecz nawet i na układy chwila nie była odpowiednią, a spiski psuły ją jeszcze bardziej.

Jakim materiałem posługiwał się Łukasiński do swoich celów? Żałuję, że brak miejsca nie pozwala mi powtórzyć choćby niektórych portretów spiskowców, więc ograniczę się do opinii, jaką sam Łukasiński wypowiedział o swoich towarzyszach: „Z boleścią przekonałem się, że błędziłem, sądząc Polaków zdolnymi do podobnych związków... Przebiegając w myśli szereg osób i ich charaktery, licząc głupstwa, które zrobili, ich niesforność i zarozumiałość... osądziłem, że związek ten nie przyniesie żadnej korzyści krajowi... Tak usposobiony, nie należałem już moralnie do związku, a jednak broniłem go, bo mi tak kazał mój charakter”...

Koroną spisku było to, że po dłuższym namyśle i awanturze w Zamościu sam Łukasiński odkrył rządowi Towarzystwo patriotyczne, którego był twórcą, wodzem i o którym rząd nie wiedział. Prawda, że dzięki uczciwości Łukasińskiego, a rycerskości W. Ks. Konstantego spiskowcy nie ulegli żadnym przesładowaniom. Niemniej rzecz to charakterystyczna, że człowiek prawy, dzielny i rozważny, jakim był Łukasiński, własną ręką obalił dzieło, które stworzył, parę lat nad niem pracował i za nie był umęczony!...

Tak więc jeden ze sławnych naszych spisków odznaczył się tem, że był czystym odruchem, nie zaś dziełem politycznej rozważań. Nie miał sił, składał się ze złych materiałów, stworzony był nie w porę, wbrew rozsądnym uwagom Kosińskiego i nareszcie—zburzony przez twórcę!... Inne spiski były do niego podobne, z tą różnicą, że—udawały się, czyli: na naród sprowadziły najcięższe klęski...

Jakim sposobem mogło się stać, że kilku



FRESK J. GARNELA, W POKOJU INFANTKI IZABELLI W MADRYCIE.

oficerów, urzędników i adwokatów tak bezceremonialnie wyciągali rękę po władzę nad narodem, który przecie posiadał własny sejm, ministrów, jeneratów?... Oto tym sposobem, że w naszym kraju nauczono się poniewierać wszelką zasługę, wszelką wartość. Nauczono się przezywać Czartoryskiego „zdrajcą”, wyrzucać ks. Józefowi Poniatowskiemu, że „opuścił sposobność ratowania kraju” i „przyczynił się bardzo znacznie do cierpień jego mieszkańców”. Słyszano i czytano, że Dąbrowski był to „intrgant, uzbrojony hipokryzą i bezczelnością”, „zdrajca, na którego krzyczeli najlepsi obywatele” i że Kościuszko „miał tyle nickszemności” iż—„oddał się całkiem nieprzyjaciółom patriotów” i t. d.

Pomijam niekroćką litanię półwaryatów, donosicieli, prowokatorów i płatnych zdrajców. Trzeba to wszystko uważnie przeczytać w „Łukasińskim”, a wówczas zrozumimy, dlaczego w końcu 1830 roku losami narodu kierowali nie ministrowie i generałowie, czyli fachowcy, ale—podchorążowie i studenci czyli entuzyaści, i dlaczego w r. 1863 warchoł Mierosławski przewrócił do góry nogami dzieło męża stanu—Wielopolskiego.

Nie jestem ani „wielopolszczykiem”, ani „ugodowcą”, ale smutnym człowiekiem, który z głębi serca boleje, że pomimo 2,000 minionych lat, moi ziomkowie zdają się jeszcze nie znać tych starorzemskich zasad:

„...We wszystkich ich działaniach jest myśl... Według nich ślepe szczęście tylko do lekkomyślności usposabia, a rozmyśl, choćby go nie uwieńczyło powodzenie, uczy, jak działać i jak strzedz się porażki... Jakże się dziwić, że naród, który pierwiej coś rozważy, nim przedsięwzięmie, utworzył państwo, sięgające na wschód Eufratu, na zachód Oceanu, na południe żyznych Libii przestrzeni, na północ Istru i Renu?”... (Dzieje Wojny Żydowskiej).

Bez rozważań, bez głębokiego namysłu, bez energicznych, lecz mądrych, bardzo mądrych działań, niema nie tylko wielkich państw, ale nawet małej wolności, nawet—warunków do bytu!... Nie ugodowcy bowiem, nie postępowcy i nie demokraci budują i utrzymują narody, ale zbiorowa praca i mądrość ponadpartyjna.





POCHÓD KORONACYJNY FERDYNANDA I IZABELLI

warry. Dokonało się zjednoczenie Hiszpanii pod berłem aragońskim. Minie jeszcze jedno pokolenie, a następcy Ferdynanda zamarzą dumnie o władztwie nad światem.

Ale i Ferdynanda wyobraźnia nie rozpałażył górne i zdobywcze marzenia, kiedy w roku 1492 - im ostatni w Europie Kalif Wschodu, Abdulach Boabdil, uderzył przed nim czołem, wręczając mu klucze Granady? kiedy, w kilka miesięcy potem, w nadmorskim Palos złożyli mu hołd przywiezieni z dalekiego Zachodu przez Krzysztofa Kolumba

czerwonoskórzy tuziemcy nieznanymi lądami? Szczęśliwy władca w jednym roku Stary i Nowy Ląd wprzągnął do swego tryumfalnego wozu.

A wnuk Ferdynanda, cesarz rzymski i król hiszpański w jednej osobie, Karol V, te słowa w dziejach świata zapisze: „Nad moim państwem nie zachodzi słońce”.

Świt tego nieustającego dnia chwały i wielkości widziały mury Segowii w r. 1479. Ale na słoneczność tę padł cień, a do dźwięków fanfar radosnych wplątał się akord fałszywy.

Bo oto niespełna w rok po koronacji na króla Hiszpanii Ferdynand ustanawia Inkwizycję; pamiętnego lata podboju Granady i wyprawy Kolumba wypędza Żydów z Hiszpanii, a wkrótce potem daje początek okrutnym prześladowaniom Maurów i wszystkich, co inaczej modlą się do Boga.

Uroczystości weselne Ferdynanda i Izabelli rozświetliła krwawa łuna tysięcy stosów męczeńskich, chór dobrany głosów radości zma-



FRESK J. GARNELA W POKOJU INFANTKI IZABELLI W MADRYCIE.

## RADOSNA CHWILA.

Segowia, staro-kastylska stolica, wre zgromadzonym tłumem, rozbrzmiewa radosnymi okrzykami. Ustały walki bratobójcze, dwie potężne dzielnice starożytnej Iberyi, Aragonia i Kastylia, w osobach Ferdynanda i Izabelli, podają sobie ręce, łączą się w bratnim uścisku na dołę i niedołę.

I nie dziw, że surmy biją w niebo hymnem tryumfalnym, że, kto żyw, wyległ na ulice starej Segowii witać władców szczęśliwych, witać brzask wielkiej wszechświatowej potęgi Hiszpanii...

Rozpoczyna się świetny pochód zwycięski ku szczytom. Nie wyjdzie lat 14, a ostatnie „Maurów posady” na półwyspie Pirenejskim zniżą swe dumne czoła przed dostojną parą królewskich tryumfatorów. Oto już i Neapol otwiera swe bramy, a u sczyłku promiennego glorią zwycięstw panowania Ferdynanda, zwanego Katolickim, oręż kastylsko-aragoński zdobywa swemu suwerenowi królestwo Na-

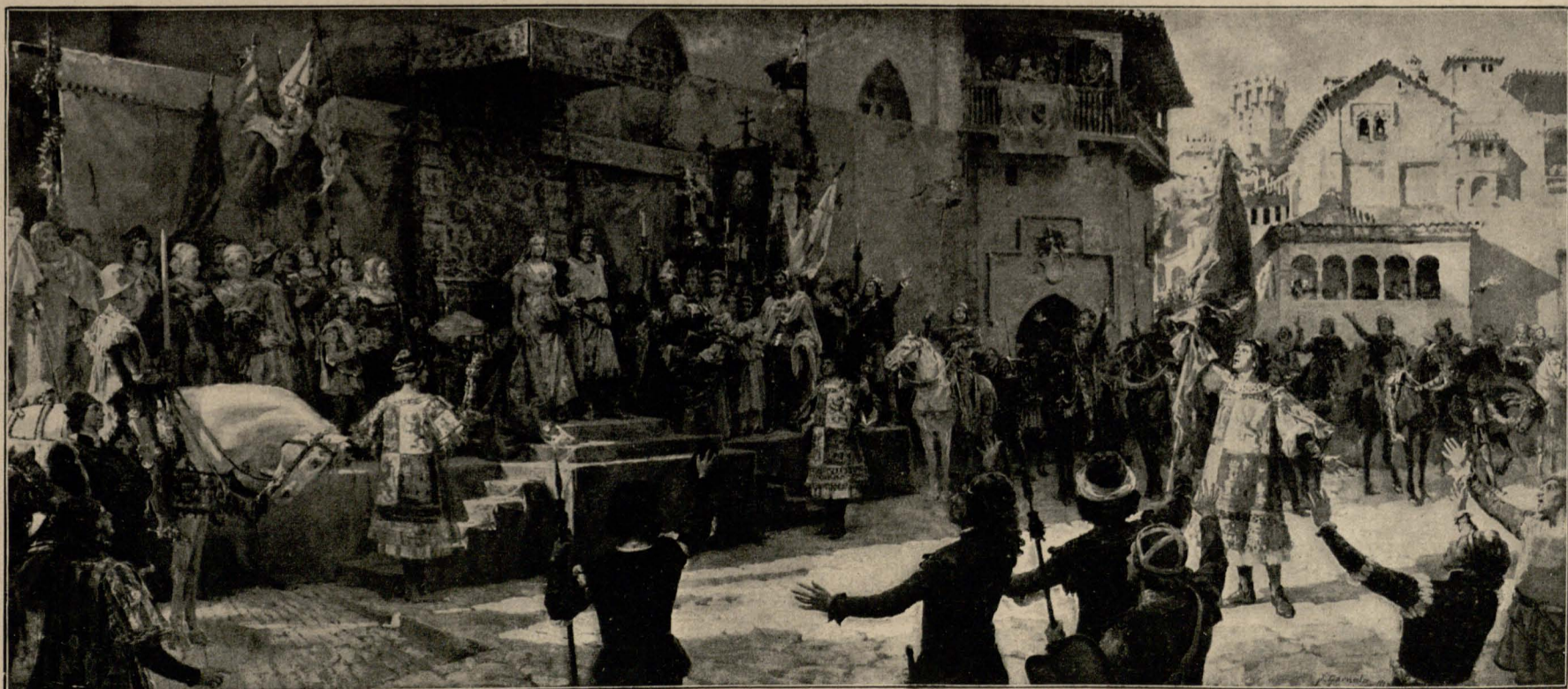
ciły jęki torturowanych ofiar, rozpacz i głucha nienawiść z jednej, zwierzęcość i okrucieństwo z drugiej strony miały wkrótce rozpostrzeć swe panowanie nad sercami, które w tym dniu pamiętnym same wzniosłe i szlachetne przepęłniały uczucia.

I przyszła Nemezis dziejowa.

I wydarto władztwo ludów temu, kto nie ojcem był, lecz tyranem swych poddanych. Zaszło słońce dumnej Kastylii, krainy grandów i *conquistadorów*. Młody, przedsiębiorczy, śmiały szczerp germański wytrącił starym Romańczykom z rąk panowanie nad morzem, popoził ich „niezwyciężone armady”, wydarł mu jedne po drugich dzielnice i kolonie zamorskie, odsunął Hiszpanię na trzeciorzędne stanowisko w koncercie mocarstw Europy.

Ostatni akt tej wielkiej tragedii historycznej, wojna hiszpańsko-amerykańska, rozegrał się w naszych oczach. Odtąd Hiszpania żyć może tylko wspomnieniami przeszłości...

Sprawiedliwości dziejowej stało się za-  
dość.



UROCZYSTOŚCI KORONACYJNE FERDYNANDA I IZABELLI W SEGOWII W ROKU 1479

FRESK J. GARNELA





MICKIEWICZ, IMPROWIZUJĄCY W SALONIE Ks. ZENEIDY WOŁKOŃSKIEJ W MOSKWI 1826 ROKU. OBRAZ G. G. MIASOJEDOWA.

Od prawej strony ku lewej: Ks. Wiaziemskij, Barjatynskij, Chomiakow, ks. Wołkoński, Kozłow, Żukowski, Puszkina, Pogodina, Wieniewitina, Czaadajew i inni.

## OR-OT: „WY, CZY MNIE PAMIĘTACIE?...”

Coś gra z przeszłości, coś się przypomina  
Echem, dźwięczącym skroś żal, krew i łzy.  
Daleka, obca, północna kraina,  
Żywe, czarowne młodej wiosny tchy...  
Przyjaznych uczuć wonne, świeże kwiaty,  
Które tak prędko zwarzył losów mróz...  
Coś gra z przeszłości... tchnie dawnymi laty...  
I czyni związek pod opieką Muz...

Kości ich leżą pod darnią mogilną,  
A jego szczątki wziął królewski loch;  
Tam mu się marzy święte stare Wilno,  
Do stron młodzieńczych tęskni w grobie proch;  
A jeśli wiosnę, co, jak błyskawica,  
Mignęła, wskrzesi przez pamięci cud:  
I te znajome musi wspomnieć iica,  
I ten daleki musi ujrzyć gród...

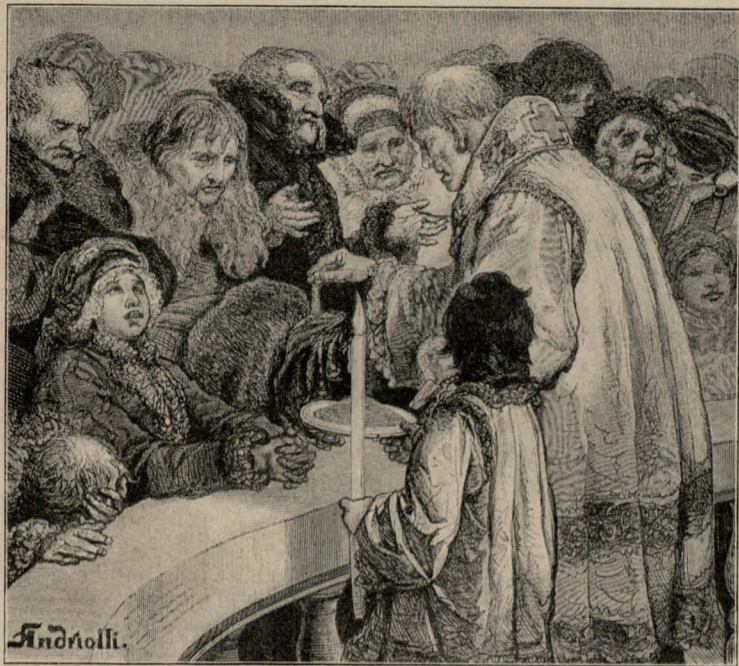
Szlachetne serca w ich piersiach gorzały,  
Rwali się w słońce, jak sokoli huf...  
Wysoko słońce!... los twarde, jak skały...  
I poginęły złote gwiazdy snów...  
I poginęły w beznadziejnie szarej  
Pustce żywota, w złych jesiennych mgłach...  
Dalekie, obce, a znajome mary,  
Patrzcie: legł w pyłe waszych marzeń gmach...

Oczom, błędzącym w dobie lat minionych,  
Jasny, pamiętny towarzyszy duch,  
Tam pod pomnikiem, w jeden płaszcz wtulonych,  
Młodych pieśniarzy stoi cicho dwóch.  
Gdzie leci skrzące myśli ich zarzewie?  
Do jakich wyżyn rwie się ducha ptak?  
Nikt nie odgadnie i nikt tego nie wie,  
I tajemnicy leży na tem znak...

To, co jest piękne, to zginąć nie może,  
Choć na czas w chmurny zasunie się mrok...  
Oni widzieli już idącą zorzę,  
Zorzę, co dotąd ludzi jeszcze wzrok.  
Przeciw nadziei i przeciwko fali  
Iść trzeba mężnie w nowy ducha świat...  
Hen, hen, za mgłami jakiś blask się pali...  
Hen, hen, za górą wschodzi wiosny kwiat...

Czy pamiętacie? To, co leży w trumnie,  
Ach, to jest lepsze nad żyjący kształt,  
To się z przeszłości wynurza tak dumnie,  
Przeklinające każdy brud i gwałt!  
Czy pamiętacie? Ich potężne słowo  
Będzie tak długo nad ziemią grzmieć,  
Aż wzruszy Ciebie, narodów Jehowo,  
I powiesz Zorzy: wszędzie i wiecznie świeć!





POPIELEC

M. ANDRIOLI.

## Dziada Kacpra o karnawale i poście uwag kilkoro.

Popiołem głowę posypałeś, czlece,  
Postną cię pora utrapieniem siecze,  
Za one płocze w zapust zbytowanie  
Odpląć, mospaniel!

Iżesz z oskomą zerkał na podwiki,  
Iżesz z trunkami czynił złe praktyki,  
Iżesz popuszczał paśa, jak za Sasów,  
Wart jesteś basów!

W zapustne noce chciało się figlować,  
Cudze niewiasty ścisnąć a całować,  
W tańcu najłacniej o nieskromne zbytki:  
Obyczaj brzydki!

A tu w dódatku płęć gładka i słaba  
Ma właśnie respekt dla takiego draba,  
Im on androny wypłata goręcej—  
Cenią go więcej.

Łazi ów mydłek, jak pies, za kobitą,  
Wzdycha kaducznie (z kochania niby to!)  
A już najgorsza taka bestya blada,  
Co wierszem gada.

Oczy baranie podnosi do góry,  
Mizdrzy się, jakby wyłaził ze skóry:  
„Bez niej—powiada—i żyć mi niemile”.  
Łgarstwo—i tyle!

Tedy dziad prawi ućciwie i mądrze:  
Ta, która wierzy, podobna jest flądrze,  
Niech teraz zasie popiół na łeb sypie,  
Na uciech stypie.

Wszystko znikomość na tym marnym świecie,  
Człek dzisiaj żyje, jutro śmierć go gniece,  
Tak każda pańska kończy się parada,  
Słuchajta dziada!

Słuchajta dziada, kładźta, co kto może,  
A on wam za to w czyścicu dopomoże,  
Swoją protekcyą w mękach poratuje—  
Jak was szanuje!

## ZABIJANIE GRAJKA.

Oj, ty piosnko skrzy-  
dlata, idź już, idź już ze  
świata; serce czarem hołu-  
bisz, i porywasz, i gubisz!  
Biedne serce człowiecze,  
gdy je piosnka urzeczce:  
zapamięta się w śpiewie  
i o życiu nic nie wie. Ma-  
rzy mu się kraj inny, jakby  
z bajki dziecinnej, jakby  
z nieba, nie z ziemi, z ludź-  
mi nawpół świętymi. Marzy  
mu się cud-kwiecie, nie wi-  
dziane na świecie, i kocha-  
nie najlepsze, nad śmierć  
trwalsze i krzepsze! A tu  
życie się toczy, łzami pró-  
szy w twe oczy, żółcią  
karmi i jadem, jest ci wil-  
kiem i gadem, i wymaga to

życie, abyś jawnie i skry-  
cie, w noc, pod dziennym lazurem, walczył  
zębem, pazurem; serca, które drży męką, nie  
osłabiał piosenką, gwiazd nie ludził promie-  
niem, nie zatrwał marzeniem; bo, gdy wokół  
złość warczy, tobie siły nie starczy, by zgnieść  
kłęskę za kłęską i wyjść z walki zwycięsko.  
Więc śmierć grajkom, śpiewakom, nie mają-  
cym gniazd ptakom, śmierć piosenkom dźwię-  
czącym i tęsknotę nieczącym; niech zaginą na  
wieki, hen, w krainie dalekiej, gdzie moc czy-  
nu nieznaną, gdzie od nocy do rana i od ra-  
na do zmroku można dumać z łzą w oku, al-  
bo płaszać bez troski, błędząc z wioski do



ZABIJANIE GRAJKA

M. ANDRIOLI

wioski, zbierać kwiatki, bławatki, patrzeć w oczy  
sąsiadki, i dla pańien, pańienek mieć girlandy  
piosenek. Dość! Zabijmy piosneczki, potem  
wrzucimy do rzeczki, niech popłyną na morza,  
na szumiące bezdroża. Nam piosenek nie  
trzeba, byle mięsa i chleba, byle wody do pi-  
cia, byle chęci do życia.

A piosenka wyklęta wznosi modre oczę-  
ta i uśmiecha się mile, i ponuca przez chwilę,  
i powiada: „Beze mnie żyć wam, ludzie, da-

remnie; jam potrzebna do życia, tak jak woda  
do picia, więc choć dziś mnie wygnacie, wnet  
wam zbraknie mnie w chacie, i będziecie wo-  
łali: wróć, piosenko, z oddali. a o

## CHARCIARZ.

Z ŁOWIECKICH WSPOMNIENIEN.

Miałem szkapkę białonóżkę, swego chowu...  
Wiatr nie koń!

Grubopłaski, noga sucha, chrap rozdęty,  
choć kładź dłoń! szyjka sarnia, pierś wypukła,  
skórę siatka kryła żył...

A już chody — proszę siadać! jak w po-  
duszkach, człowiek tkwi!

Polowałem na nim lata. Harapnikiem  
bierał kot! najtęższego, panie, gracza razem  
z psami doszedł w lot!

A raz nawet...

Ot, opowiem! Kronikarskich godne akt...  
Sforsowałem na nim lisa popod... śnie-  
giem! słowo! fakt!

Zima była dyabło-kopna, śnieg po cha-  
łup sięgał dach... Zasypało pola, drogi... Kędy  
spojrzeć, biały łach!

Ani sposób ruszyć z domu.

Siedzę tedy zły, jak bies! aż tu, panie,  
wpada psiarczyk:

— Jaśnie panie! w krzakach lis!

— Dawać konie! psy na smycze...

W pół pacierza mamy trop...

Lis obkłada „okrawkami”, *haukując*, tak  
jak chłop!

Dojechaliśmy na oko...

— Wyczha, pieski! heż-go, hep!

Poszły wierzchem po lodówce. Koń za-  
pada po sam łeb! Śnieg był górą przymarznie-  
ty, ale dołem istny puch...

Co się zbierze białonóżka, to po szyję  
w zaspy... buch!

Co tu robić? tracę głowę! Wtem... mój  
szkapka... nagle... w mig! jako struna się wy-  
ciąga i chrapami prosto... w śnieg!

W pierwszej chwili, nie zapieram, wstrzą-  
snął całą pierś dreszcz!

A mój szkapka płynie w śniegu, niczem  
w wodzie karp lub leszcz!

Przejechałem, jak tunelem, popod tropem  
lisim w cwał... Nim mykita dopadł lasu, jam  
mu, panie, *obrót* dał, psy dopadły z drugiej  
strony i za „kite” zaraz... cap! a ja, panie...  
charapnikiem z białonóżki... Perła szkap!

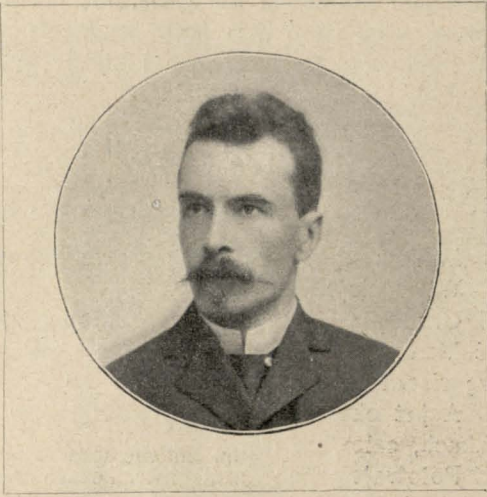
Lis był olbrzym!... okazały! upasiony, ja-  
ko pień! Nie wierzycie?

Daję... słowo! Mam lisiurkę... po dziś  
dzień!

KAZIMIERZ LASKOWSKI.







## Władysław Jabłonowski

JAKO KRYTYK LITERACKI.

Smutek duszę ogarnia na myśl, jak szczupłe, jak powierzchowne są nasze wiadomości o współczesnej literaturze europejskiej...

„Gabryela d'Annunzia zna się u nas z powodu Eleonory Duse, Nietzsche'go z powodu, iż odkrył „nadczołwieka”, Verlaine'a z tego, że jest „ojcem dekadentyzmu”, Zolę z powodu Dreyfusa i oczadzenia, Tołstoja stąd, że go wciąż ktoś odwiedza w „Jasnej Polanie” i t. p.”

Słowa te, gorzkiej prawdy pełne, wyszły z pod pióra pisarza, który wszystkie usiłowania życia swego poświęcił, aby rozproszyć te mroki, położyć kres tej niewiedzy, „zeuropejszczyć” nasze społeczeństwo, pozostające tak daleko w tyle w tryumfalnym pochodzie cywilizacji.

Pisarzem tym jest Władysław Jabłonowski, autor licznych studyów, rozpraw i rozbiórów, z których najcelniejsze ujął w dwa tomy: „Wśród obcych” i „Rozprawy i wrażenia literackie”.

Z upodobania i kultury literackiej należy Jabłonowski do typu umysłowego, który moglibyśmy nazwać aryjskim i renesansowym. I to w najlepszym znaczeniu obu tych wyrazów. Rozumiemy je, jako uwielbienie państwa ormużdowego i ducha, który nie tylko czerpie cudowną wodę życia z najczystszych źródeł, ale i sam pragnie być źródłem, zasilać i pokrzepić maluczki, żywe twory natury.

Jabłonowski jest człowiekiem Zachodu, należy do wielkiej rodziny europejskiej, chciałby swój naród widzieć w kole nie tylko zawezwanych, ale i wybranych. Rozumie, że nie masz postępu bez wymiany myśli pomiędzy ludami, pamięta, ile Polska zawdzięczała w najpromienniejszych epokach swego bytu politycznego: w w. XVI i XVIII, tej szczęśliwej okoliczności, iż otworzyła na ścieżaj wrota od Europy, przyjmując od swych bliższych i nawet dalszych sąsiadów to, co mieli najlepszego: pierwiastek twórczy rozwoju duchowego.

Umysł otwarty, jasny, a przytem dziwnie trzeźwy i krytyczny, nie daje się nigdy brać na lep okrągtemu, a szumnemu frazesowi, umie odróżnić ziarno zdrowej myśli od plew ślepej doktryny i aktorskiej pozy, byronicznej, dekadencjonalnej, czy rewolucyjnej. Odczytanie ogromne nie przeszkadza wszakże dążeniom do ogarnięcia jednym spojrzeniem, zsyntetyzowania rozbieżnych objawów życia duchowego narodów Europy. Świadczą o tem najlepiej takie studia uogólniające, jak np. „Mistycy i nawróceni w literaturze współczesnej”, „Symboliści i dekadenci w literaturze francuskiej”, „Poezya

współczesna włoska”, „Indywidualizm rosyjski i jego odbicie w poezji” i inne.

Ze wszystkich literatur świata najbardziej umiłował Jabłonowski najstarsze cywilizacyjnie, najbardziej zrównoważone i najdojrzałe piśmiennictwa romańskie. I na tem polu położył rzetelne zasługi.

Kto np. wie coś u nas gruntownego o krytykach francuskich? Imiona ich to dla bardzo znacznej większości naszej pół i ćwierć-inteligencji puste dźwięki. Takie więc wszechstronne, do dna rzeczy docierające rozprawy Jabłonowskiego, jak np. rzecz o Sainte-Beuve'ie, są jakby strumieniem światła, wdzierającym się nagle do ciemnej komory. Niemniej zasługują na uwagę mniejsze rozmiarami, ale niemniej wyczerpujące studia o René Doumic'u, o Franciszku Sarcey'u.

Również gorąco bierze do serca najnowsze objawy ducha starej Italii, o czym świadczy obszerna, źródłowa praca o Gabryelu d'Annunziu. Krótkie, ale przeniknięte gorącym uczuciem uwielbienia heroizmu tych, co życie swoje kładli w ofierze w walce o wolność, są niewielkie, ale piękne szkice o Garibaldi, o Mazzinim.

Ze studyów Jabłonowskiego wieje ku nam szeroki dech uniwersalizmu europejskiego; nie simum to duszący i nie huragan niszczytelki, ale błogosławiony wiatr, co niesie z sobą deszcz ożywczy i wróży plenność zasiewów.

Człowiek zachodni—Zachód miłuje całym sercem.

Ale nie miłuje na ślepo. Nie jest bynajmniej wyznawcą zasady, iż „co Francuz wymyśli, to Polak polubić”—powinien. Rozumie bowiem doskonale, że nie wszystko z nad Sekwany lub Tybru da się przenieść żywcem nad Wisłę i Wartę. „Wśród obcych” nie czuje się wprawdzie obcym, ale najlepiej mu wśród swoich. Rozbiory najnowszych utworów literatury polskiej, zawarte w tomie „Rozpraw i wrażenia literackich” (Lemański, Weysenhoff, Reymont, Kasprowicz) celują głębokim ujęciem i szczerem umiłowaniem przedmiotu. A przytem, odczuwając doskonale duch innych narodów, czuje lepiej jeszcze odrębność rodzimej kultury. Umie utrzymać złoty środek między zatęchłą, zaściankową „swojskością” i bezwyznaniowym kosmopolityzmem. Pragnie, by naród jego pełną dłonią czerpał zasoby cywilizacyjne od innych ludów, ale przejmuje go trwoga na myśl, że naród ten może przestać być sobą, rozpląnąć się w oceanie „ludzkości”. Niechaj raczej będzie jednym z dźwięków w powszechnej harmonii, lecz niech nie brzmi unisono z innym jakimś tonem.

Słowem, uniwersalizm europejski i odrębność narodowa — oto są dążenia napozór sprzeczne, które godzą się jednak wybornie w umyśle Jabłonowskiego.

I pod tym też kątem widzenia europeizmu i polskości należy rozpatrywać stosunek Jabłonowskiego do literatury rosyjskiej. Przedmiotowi temu niejedną kartę swych studyów poświęcił. Prócz wymienionej powyżej pracy syntetycznej: „Indywidualizm rosyjski i jego odbicie w literaturze”, napisał jeszcze szereg sylwetek współczesnych pisarzy rosyjskich, tak starszego pokolenia (Tołstoj, Dostojewskij), jak i najmłodszych (Gorkij, Andrejew).

Bierny mistycyzm, streszczający się w słynnym zdaniu Tołstoja: „Nie sprzeciwiajcie się złu”, ani też nihilistyczny rewolucjonizm genialnych „bosiaków” nie przemawiają do jego duszy. On, człowiek ducha i kultury łacińskiej, nie weźmie do serca żadnych oznak byzantynizmu myśli i słowianofilstwa, plującego

na „zgniły Zachód” w poczuciu własnej wyższości. Odwróci się, człowiek twórczej myśli europejskiej, wielbiciel wspaniałych budowli, które wzniosła kultura wiekowa, od bezmyślnego burzycielstwa i indywidualistycznego rozpasania „mocnych duchów” ze Wschodu.

Charakterystyczne jest pod tym względem to, co mówi w artykule o „Indywidualizmie rosyjskim”: „Potrzeba tego rodzaju (t. j. potrzeba negacyi), naczelną i nieprzewyciężoną potrzebą duszy rosyjskiej, skłoniła ją do zajmowania samych krańcowych stanowisk, do trwożnego unikania wszystkiego, co jest „dya-belskim środkiem”, co tchnie umiarkowaniem, równowagą, statecznością, t. j. harmonijnem ustosunkowaniem sił wewnętrznych ducha: instynktu, uczucia, intelektu”.

Taki radykalizm może porwać zapalne a bezkrytyczne umysły, ale nasz autor jest od takiej „wywrotowości” jak najbardziej daleki: nie będzie podkładał min ni pod Wawel, ni pod Akropol.

Tak! pod Wawel. Nade wszystko bowiem góruje obawa, by obce żywioły nie zatruty duszy narodowej, nie strąciły jej z drogi prawdziwego, rozumnego rozwoju i postępu. I w tej myśli Jabłonowski schodzi się ze Szczepanowskim.

Nie bądźmy „pawiem narodów i papuga!”

H. G.

## ZŁOTE LISTKI.

...Tęsknota to wielka, ponura pani... ma ona kaprysy okrutne: czasami szarpnie z nie-nacka pazurem, jak zwierz dziki... czasami ma cichy lot nietoperza i dotknie skrzydłem, gdy się jak najmniej spodziewasz, i obrzydzi ci siebie samego, a niekiedy ścieka, jak ołów roztopiony, małą kropelką na mózg i wypala tam ślady niezatarte; albo, jak szarańcza, spadnie na duszę i zniweczy cały plon jej życia...

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI.

(„Spadek po przyjacielu”, str. 91, ze zbiorku nowel p. t. „W zatoce śmierci”).

## Podróże.

Gdzie nas niema? Jak świat szeroki, wszędzie są nasze ślady, wszędzie są nasze ścieżki, wydeptane przez polskich turystów. Zdawałoby się, że w takich warunkach, kiedy oddawna już do przeszłości należy typ Polaka, który „nigdzie nie jeżdżając”, siedział na zagonie ziemi ojczystej i tylko dbał o to, aby komiegi, zbożem ładowne, raz do roku spławić pomyślnie do Gdańska—powinna u nas kwitnąć literatura podróżnicza, że o tych obcych krajach, które pociągają ku sobie tylu podróżnych, powinniśmy mieć przynajmniej księgi, pięknie pisane, jako owoc tylu wycieczek, podejmowanych najczęściej nie dla interesów przemysłowych i handlowych, ale dla zabicia smutku własnej duszy, dla wrażeń innych, dla szerokiego oddechu na szerokim świecie.

Tymczasem jest wręcz przeciwnie. Nasza literatura podróżnicza jest nieskończenie uboższa od literatury Anglików, Francuzów i Niemców w tym samym dziale.

Wprawdzie od czasu słynnych podróży Tripplinowskich stosunki poprawiły się już znacznie, to jednak daleko im jeszcze do zaspokojenia tego „głodu podróży”, jaki ujawnia się w coraz szerszych warstwach czytelniczych.

Poza historią, podróż stanowi bardzo łaskomy kąsek dla ogółu czytającego. Dopominają się o nią we wszystkich bibliotekach i czytelniach, żądają jej od wszystkich wydawnictw popularniejszych. A podróży niema. Gdyby nie pamiętki po Sygurdzie Wiśniowskim, gdyby nie listy Sienkiewicza z Ameryki i z Afryki, zawsze cenne i za-



wsze powabne, gdyby nie kilka jeszcze książek innych, które wybiły się ponad miarę szybkiej roboty dziennikarsko-felietonowej, cechującej np. wszystkie podróże St. Bełzy—nie mielibyśmy zgola nic do ofiarowania naszym współziomkom, żądnym zaznajomienia się z krajami obcymi, zwłaszcza, jeżeliby zaznajomienie to miało być gruntowniejsze, oparte na głębszej, samodzielnej obserwacji ludzi, stosunków, zwyczajów i obyczajów, życia społecznego i życia państwowego.

Nie szukając już dalej, dość powiedzieć, że poza „Wakacjami w Anglii” Tad. Smarzewskiego nie mamy ani jednej poważnej, głębokiej książki o stosunkach angielskich. To samo dotyczy wielu innych krajów europejskich, których życie współczesne jest dla nas obce zupełnie, lub w najlepszych warunkach—znane nam tylko z okna wagonu, lub z przygodnych felietonów i artykułów dziennikarskich.

Kto zaś bliżej zapragnie poznać istotę tego życia, chcąc nie chcąc, musi brać do ręki książki obce i w nich szukać odpowiedzi na niepokojące go pytania.

Taki stan rzeczy byłby zupełnie usprawiedliwiony, gdybyśmy ze względu na to, że nie bierzemy udziału w wielkim, wszechświatowym ruchu handlowym i przemysłowym, siedzieli w domu i miłowali pocichu swoją ojczyznę. Ale tak nie jest. Tkwi w nas siła, pchająca nas nieustannie w świat. Mamy wśród siebie mnóstwo ludzi, którzy nie mogą jednego roku usiedzieć spokojnie w Polsce, którzy ustawicznie marzą o tem, gdzie pojechać i marzenia swoje urzeczywistniają—tylko podróże ich są zupełnie dla literatury nieprodukcyjne, bo przedsiębrane dla powierzchownego zaspokojenia ciekawości, dla rozrywki, dla pustej chwalby z tego, że się zna świat, że się go w poprzek i wzdłuż przejechało.

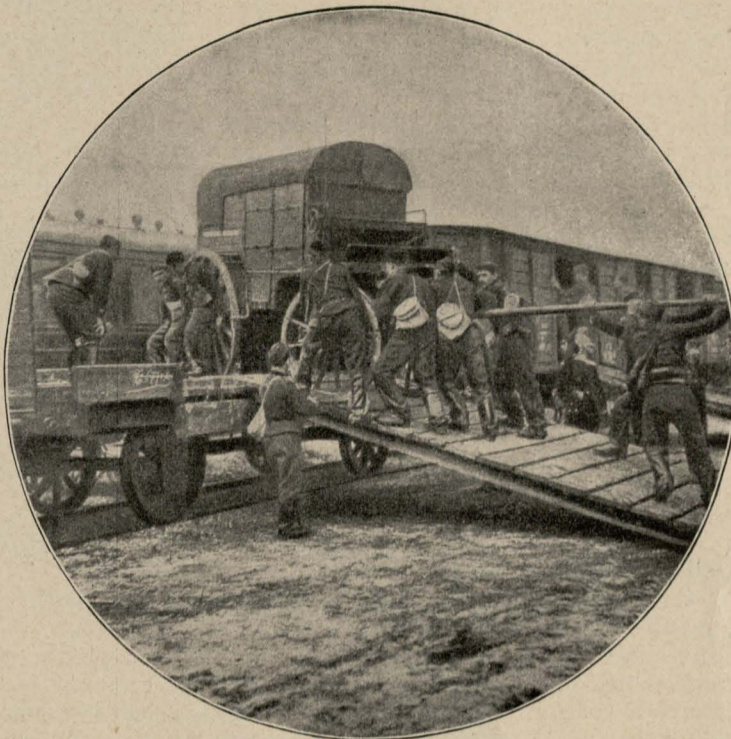
A przecież niejednym z podróżnych, należących do gatunku owych „ptaków wędrownych”, którym środki pozwalają na dłuższy pobyt w obcych krajach, gdyby zechciał poważniej patrzeć na życie, mógłby stopniowo zapełniać tę ważną lukę w naszym piśmiennictwie i zostawić po sobie ślad trwałszy, niż wyrzynięty brylantem inicjał na szybie wagonu sypialnego lub słony rachunek w pierwszorzędnym hotelu.

Z. D.

## W przededniu wojny.

Czy będzie wojna na Bałkanach? Zdania są podzielone. W każdym razie w prasie odczuwamy już odgłosy wojenne. Mało kto zdaje sobie sprawę z tego olbrzymiego przewrotu w życiu kraju, kiedy wojna zostanie ogłoszona. Była taka chwila w życiu Francji przed paru tygodniami, kiedy zatarg afrykański o Marokko zagrażał krokami wojennymi na wschodniej, europejskiej granicy. Pisma francuskie poświęcały wówczas dużo miejsca przygotowaniom wojennym. Z podanych przez nie materiałów możemy wyobrazić sobie dokładnie, jak wygląda przeddzień wojny.

Zanotujmy na wstępie, że w r. 1908 Francja miała pod bronią 570,000 ludzi. Ponieważ służba wojskowa trwa dwa lata, a przez ćwierć wieku każdy Francuz podlega mobilizacji, więc teoretycznie, kilka milionów żołnierzy podczas wojny wystawić może. Teoretycznie—bo w praktyce liczba ta wyniesie nie więcej, jak dwa miliony.



Ladowanie bagażów wojskowych na platformy.

A teraz puśćmy wodze wyobraźni i przeńmy się na granicę wschodnią.

Jesteśmy w małym miasteczku Raon l'Etape na linii strategicznej Lunewil-St. Dié. Mer siedzi u siebie, zdenerwowany wyczekiwaniem. Naraz otwierają się drzwi z łoskotem. To woźny z telegrafu:

— Rozkaz mobilizacji!

W tej samej chwili wszyscy merowie wszystkich gmin Francji wschodniej i północno-wschodniej rozpierzchują równobrzmiące depeche, podpisane przez ministra wojny. Po drutach telegraficznych biegną w tym samym czasie rozkazy władz wojskowych. Larum biją!

Nazajutrz przypada pierwszy dzień mobilizacji. Mało spali tej nocy mieszkańcy miasteczka. I nie pracują. Wszyscy są w oknach lub pode drzwiami, słuchając ostrych dźwięków bębna i nawoływań mobilizacyjnych. Mury pokryły się afiszami o mobilizacji i rekwizycjach.

Na największy plac spędzają wszystkie wozy i powozy, uznane w r. z. za nadające się do celów wojennych. Przez tłum ludzi i zwierząt z trudem przeciska się komisja pod przewodnictwem umyślnie przybyłego z Nancy oficera. Krótkie oględziny weterynarza; jeszcze krótszy wyrok: „zdatny” lub „niezdatny”. Właściciel dostaje bon płatny na konia, lub zabiera go do domu.

Tymczasem mer czuwa bez przerwy i wykonywa rozkazy telegraficzne wszelkich władz, które mu co chwila przynoszą. Na jutro zamówiono kwatery dla batalionu saperów. Niemalby to kłopot w tak małym miasteczku.

Mobilizują się trzy korpusy, w Chalons nad Marną, Besançon i Nancy. To przednia straż. W tych departamentach wre najbardziej gorącz-

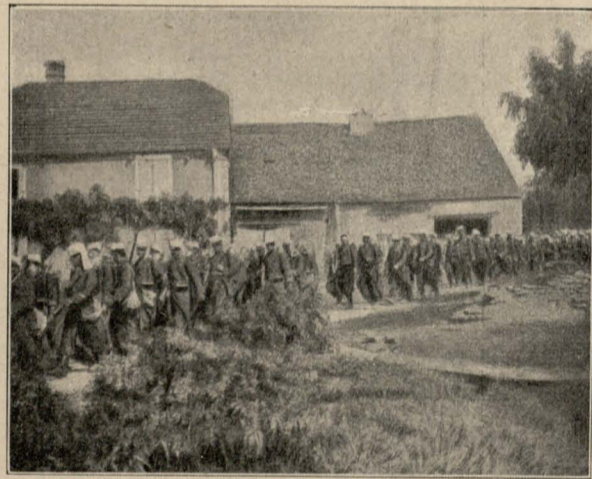
kowa czynność. Gdyby dodać do siebie zużyte paski aparatów telegraficznych, otrzymalibyśmy pas 15-kilometrowej długości; afisze zajmują razem powierzchnię 91,661 metrów kwadratowych.

Dwudziesty korpus jest pierwszy gotów. Rusza z Nancy 38,000 piechoty, 7,000 jazdy, 2,600 artylerzystów, 600 saperów, tyluż robotników i infirmierów. To wszystko trzeba wyżywić po drodze, dać noclegi... Każdy żołnierz niesie na sobie pakunek wagi 30 klg.: jedną zmianę ubrania i bielizny, naczynia do jedzenia i do picia, naboje i żywność zapasową. Można jej używać tylko w wypadkach ostatecznej konieczności. Są tu suchary, 500 gr. mięsa, kawa, jarzyny w konserwach.

Następne dwa korpusy są zmobilizowane piątego dnia. Wojsko dąży do najbliższego punktu na granicy. Jazda na przódzie. Za nią piechota z szybkością 70 metrów na minutę z dziesięciominutowymi przerwami co godzinę i z jednym wielkim wypoczynkiem na dzień. Aby dotrzeć do stacji...

Surowa dyscyplina czuwa nad transportami. Nic tu nie może być pozostawione przypadkowi.

A przedewszystkiem—ponieważ okolice nie mogą zaopatrzyć armii w chleb—ruszają wagony z przenośnymi piekarniami polowemi. Zasadą innych transportów jest, aby nie rozdrabniać jednostek wojskowych, nie mieszać ich z innymi. Więc będą pociągi danego batalionu piechoty, jazdy, czy

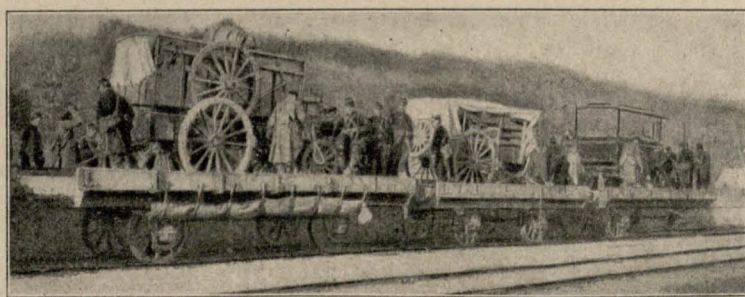


Na dziesiątym kilometrze ku granicy.

artylerii. Transport np. 6-go korpusu wymaga 134 pociągów, liczących 6,052 wagony. Transport środków żywności potrzebuje 400 wagonów, czyli 10—12 pociągów. Wreszcie dwa pociągi przewiozą sekcję telegraficzną połową wraz z jej parkiem, a jeden pociąg czterdziestowagonowy zabierze materiał chirurgiczny i farmaceutyczny.



TRANSPORT AMUNICJI.



WAGONY NAŁADOWANE.



Wielkie wrażenie wywołuje widok linii kolejowych podczas mobilizacji. Ponieważ nagle zawieszony został przewóz pasażerów i towarów, wszystko robi wrażenie pustkowia i zaniedbania. Mniejsza o towary. Na całej rozległości linii składają je teraz w osobnych lokalach, a tam, gdzie niema miejsca, poprostu wzdłuż linii, bez przykrycia.

Na większych stacjach węzłowych komisye, złożone z inżynierów, z oficerów sztabu, czuwają nad ruchem, wydają rozkazy wyjazdu, regulują wszystkie szczegóły z matematyczną ścisłością, aby uniknąć zapchania linii i spotkań pociągów.

Minęło dni dziesięć... Uruchomione wojska zajęły wyznaczone z góry pozycje. Wojna już wypowiedziana. Oczekują lada chwila pierwszych potyczek jazdy.

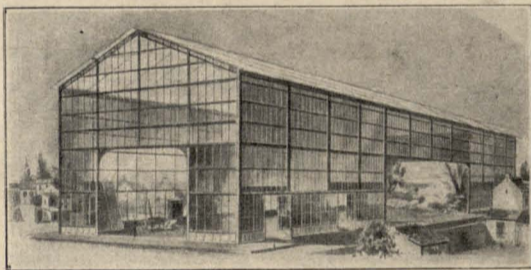
„Niechże Bóg broni, aby te hipotezy się sprawdziły.”—kończy swój artykuł pisarz francuski. I ma słusność.

Jak na granicy francusko-niemieckiej przed paru tygodniami możliwe były wszelkie hipotezy wojenne, tak dziś przedstawiają się rzeczy na granicy austriacko-serbskiej. Te powikłania są może jeszcze groźniejsze, mogą bowiem przenieść zagwie wojenne na całą Europę. Tem szczerzej powtórzyć możemy przytoczone wyżej zakończenie...

## TEATR MECHANICZNY.

Ubiegłe stulecie było stuleciem maszyn. Wszystko, co poprzednio starannie, trwale, ale kosztownie było wykończane ręcznie, zaczęto wytwarzać za pomocą maszyn w tysiącach jednostajnych, pozbawionych wszelkiego wdzięku sztuk. Ale—taniej. Hasłem chwili była dostępność komfortu, dostępność wszelkich wrażeń dla szerokich mas.

Dawne kosztowne ilustracje, pełne sztychów i drzeworytów, zastąpiły nowe tanie, na chemicznych, stereotypowych odbitkach oparte. Dawny dziennik o wysoce literackiej, wykwiintnej treści



Teatr Pathé w Montreuil sous Bois, w którym fotografowana jest treść przedstawień kinematograficznych.

zastąpiły liczne śmiecie. Uprzemysłowiono powieść: to, co zapędziła zagranicą odcinki pism, to są fabrykaty maszynowe, które z twórczością, ze sztuką nie mają nic wspólnego, wytwory dzierżaw, poddzierżaw, jakby kawałków roli, czy wynajętych dworków. Dzieci tymczasem jeszcze są wytwarzane indywidualnie; i w tej dziedzinie nastąpiłoby niewątpliwie uprzemysłowienie, gdyby ich było kiedykolwiek brak, gdyby nie istniało przeludnienie.

Dlaczegożby temu powszechnemu prądowi miała oprzeć się muzyka i teatr? Jakoż nie oparły się. Dziś każdy z nas może mieć lichy, ale tani koncert najznakomitszych śpiewaków, muzyków i deklamatorów u siebie w pokoju (gramofony). A za niewielkie pieniądze—na pierwszym lepszym rogu, bez przebierania się, bez ambarasu znajdzie widowisko maszynowe, kinematograf. Z chwilą, kiedy ludzie zdołają skombinować i uzależnić od siebie oba te wynalazki, zrobić równoległymi zjawiska, które są ich treścią, położymy kres teatrowi i cyrkowi, które były dla tylu pokoleń rozrywką, położymy kres widowiskom, do których indywidualnie potrzebny był geniusz ludzki. Aktorzy i śpiewacy będą tylko występować przed aparatami fotograficznymi, lub gramofonami, będą jedynie nabijać maszyny. Zniknie z życia kinkietów pierwiastek próżności, pragnie-

nia hołdów osobistych. Mniej będzie adeptek i adeptów teatralnych—powołanych, a nie wybranych. I to będzie korzyść niewątpliwa.

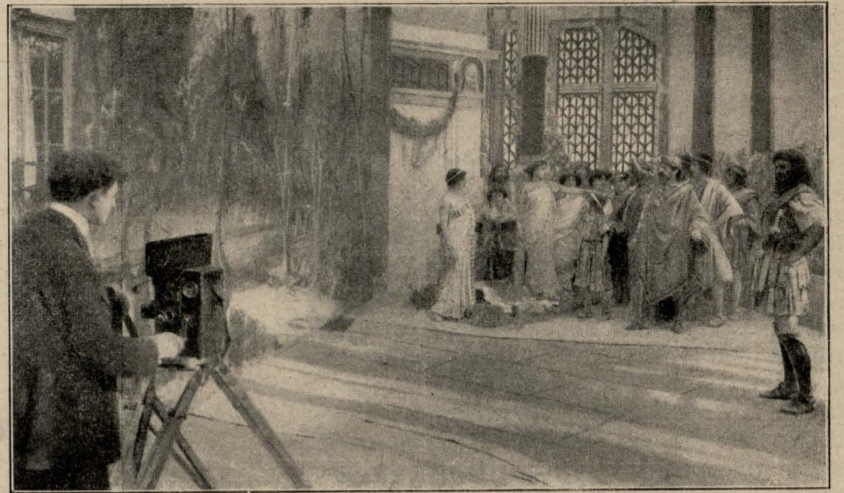
Tandeta!—powiecie. Zapewne. Ale nie zapominajcie, że żyjemy pod hasłem dostępności, która jest demokratyzującą w dziedzinie użycia. Bądźmyż konsekwentni, jako demokraci, a takimi są podobno wszyscy—w słowach, i... śpiewajmy hymny tryumfu na cześć teatrów i widowisk maszynowych.

Kinematograf jest zresztą nie tylko teatrem mechanicznym, jest przytem żywą ilustracją wypadków rzeczywistych. Kiedy w teatrze Apollo w Berlinie tysiące ludzi mogą oglądać na drugi dzień uroczystości jubileuszowe cesarza Franciszka Józefa, kiedy u nas nawet już pokazują przyjęcie w Berlinie króla Edwarda, mamy do czynienia nie z profanacją sztuki, ale z olbrzymim naprawdę wynalazkiem: z widzeniem na odległość.

Ale maszyna zwycięża i jako teatr. W New Yorku prawdziwe teatry są tak drogie, że ludzie chodzą tam jedynie, aby pokazać, jako mają pieniądze, a scena zgoła ich nie obchodzi. Ludzie bawią się w budach farsowo-bombowych, lub jeszcze lepiej—w kinematografie. Na jeden teatr przypada około setki kinematografów. W Rio de Janeiro jest jeden czy dwa teatry, a na każdym rogu prawie kinematograf. W bardziej uprzemysłowionych społeczeństwach zamorskich zwycięża na całej linii maszyna.

Odtwarzanie przez kinematograf rzeczywistości opiera się na własności oka ludzkiego zatrzymywania obrazów, czyli widzenia danego przedmiotu lub barwy dłużej, niż on na danym miejscu przebywa. Ta własność zatrzymywania trwa około 0,1 sekundy. Innymi słowy, gdybyśmy np. lampę elektryczną gasili i zaświecali 10 razy na sekundę, to wzrok nasz nie dostrzegłby tych zmian. Odwrotnie, przesunięcie podczas tego samego okresu czasu dziesięć obrazków kolejnych ruchów człowieka idącego lub wozu jadącego, a wszystkie te obrazy zleją się w jedną całość i otrzymamy zupełne wrażenie ruchu. Jeżeli tedy przed jakimkolwiek pochodem ustawimy aparat fotograficzny bardzo dokładny, zaopatrzone w błony bardzo czułe, jeżeli będziemy robili kolejne zdjęcia z szybkością 15 na sekundę, w czem  $\frac{1}{50}$  sekundy zajmuje wystawienie, a resztę czasu przesunięcie błony, i jeżeli potem te same obrazy przesuniemy na ekranie, to przed oczami widzów rozwinie się całkowity obraz zjawiska, które było fotografowane.

Ta sama zasada stosuje się do przedstawień rzeczy zmyślonych, ale rzeczywistości odpowiadających. Będziemy mieli tu do czynienia poprostu z fotografowaniem z góry ułożonych przedstawień teatralnych. Technika fabrykacji błon będzie tu oczywiście bardziej złożona. Potrzeba już teatru, dekoracji, całej armii statystów, autorów, scenaryuszów i t. d. Nawiasowo wtrąćmy, że w dekoracji a c h, kostiumach, nawet charakterystyce i wszelkich władnie panują jedynie barwy biała, szara we wszystkich natężeniach i czarna. Bówiem—wobec niemożności zastosowania fotografii wie-



Fotograf przy pracy. Scenariusz obrazów napisał Juliusz Lemaitre; przedstawiają je najwybitniejsi artyści Komedii Francuskiej: Le Bargy, Mounet, pani Bartet i inni.

lobarwnej—te barwy właśnie dają w reprodukcji najlepsze złudzenie rzeczywistości. I dodajmy jeszcze, że scenariusze dla kinematografów zaczynają już teraz układać najznakomitsi autorowie, przez co produkcja mechaniczna zbliża się do sztuki. Wszystkie te przygotowania są bardzo skomplikowane, a reżysery scen zbiorowych o wiele trudniejsza, niż w prawdziwym teatrze, oparte są one bowiem na szeregu bardzo krótkich scen, które z całą dokładnością, bez płątaniny muszą być zarejestrowane przez aparat fotograficzny.

Tyle byłoby do powiedzenia w krótkim zarysie o odbiciu rzeczywistości istotnej lub udanej w kinematografie. Ale każdy z nas widział w nim także obrazy fantastyczne, sny, nagłe substytucje, transformacje, słowem, rzeczy zgoła niemożliwe. I te obrazy są przez staranną reżyseryę przygotowane, a źródłem wynalazku, jak w tylu innych wypadkach, był przypadek.

Pewnego razu Miliès, jeden z pierwszych fotografów kinematograficznych, zdejmował ruch uliczny Paryża na wielkich bulwarach. Naraz zepsuło się coś w aparacie, i upłynęła długa chwila przerwy, zanim został uporządkowany i w ruch puszczony. Ze zdumieniem przekonano się potem, że ściśle na tem samym miejscu, gdzie stał omnibus, a za nim tłum czekających na swoją kolej pasażerów, znalazł się nagle karawan z tłumnym i poważnym orszakiem pogrzebowym. To, co wywołała w życiu przerwa przypadkowa, można było oczywiście wytwarzać sztucznie na scenie. Przerwa i substytucja—oto dwie podstawy fabrykacji obrazów fantastycznych.

Oto np. *nieszkodliwe przejechanie*. Tu następuje trudność jedna: trzeba znaleźć prawdziwego kalekę z obciętymi obu nogami. O to nawet w Paryżu było bardzo trudno, tem bardziej, że żebrakom nie imponowała nawet cyfra wynagrodzenia 50 fr. za godzinę. Ostatecznie kaleka był... Najpierw trzeba było zdjąć obraz człowieka, leżącego na ulicy, i zbliżającego się automobilu. Pauza. Następuje substytucja. Pierwszego aktora zastępuje kaleka, upozowany tak, aby automobil przejechał tuż przy obciętych nogach. Zdjęcie. Nowa pauza i nowy obraz. Wszyscy z automobilu wysiedli, kaleka potrząsa obciętymi nogami. Ale szofer jest dowcipny: przykleja mu je. I w ostatnim obrazie widzimy, jak przejechany zdąży wesoło do domu. Tu zaszła znowu substytucja: usunięto kalekę, a zastąpił go aktor, który występował na początku obrazu. Obaj, oczywiście, musieli być ucharakteryzowani identycznie, aby publiczność na przedstawieniu substytucji nie spostrzegła.

W ten lub podobny sposób powstają wszelkie obrazy, przedstawiające historie duchów, komiczną historię człowieka namagnetyzowanego, człowieka w koszuli elektryczno-erotycznej i t. d. Bez względu na to, czy nam się przedstawienia kinematograficzne podobają, czy nie, możemy zdumiewać się tej niesłychanej wynalazczości, której są owocem.

P. Stanisław Szalay, którego uprzejmości zawdzięczamy większą część szczegółów, zawartych w niniejszym artykule, mówi w swoim odczycie o kinematografach, że jeszcze Lukrecyusz, autor poe-



Niech żyje pocziwy automobil. Nogi do góry!



matu „De rerum natura” (99—55 lat przed Chrystusem) znał zasadę kinematografu, a może nawet posiadał przyrząd do praktycznych pokazów w tym kierunku. Z dziecinnych lat wszyscy przypominamy sobie walce z szeregiem naklejanych w środku obrazków, które przy obracaniu dawały obraz gonitw, ćwiczeń gimnastycznych i t. d. To był poprzednik dzisiejszego kinematografu. Wszystkie próby, które go poprzedzały, oparte były na przybliżonych rysunkach kolejnych ruchów; dopiero zastosowanie fotografii migawkowej fantazję rysowników zastąpiło ruchami rzeczywistości. W r. 1894 br. Popławscy i inż. P. Lebedziński zbudowali przyrząd, który umiał rzucać na ekran i łączyć w drgający życiem obraz poszczególne momenty, a co ważniejsze, pochwylić je i utrzymać. Nie rozpowszechnił się polski wynalazek, nie dał zysku wynalazcom, bo był polski, a poczęści dlatego, że posługiwał się płytami szklanymi, przez co był bardzo ciężki. Fabrykacja błon nie stała jeszcze wówczas na poziomie, niezbędnym do rozpowszechnienia kinematografu.

Wszedł on w życie w parę lat później, w roku 1896, kiedy br. Lumière wypuścili pierwszy kinematograf błonowy; od tam przemyśl ten pozostał przeważnie francuskim; we Francji istnieją największe warsztaty przygotowawcze obrazów.

Ale wprowadzono w konstrukcji liczne zmiany; w ciągu paru lat po wynalazku br. Lumière urzędy patentowe angielskie, francuskie i niemieckie patentowały około 20 zmian miesięcznie...

U nas dziś liczni przedsiębiorcy korzystają z przyrządów i obrazów przeważnie francuskich. I podobno—co wydaje się dziwnem—robią interesy nieświetne, może dlatego, że kinematografów jest za dużo, a teatry jeszcze zbyt tanie.

## ŚNIEGI.

Z CYKLU: „WIEŚ”.

Niema dziś aktualniejszego tematu nad śniegi.

Obaj święci, zarówno święty Marcin, jak Maciej, okazali się bardzo życzliwymi dla tegorocznej zimy.

Pierwszy pozwolił jej się sprowadzić na ziemię nawet przed tradycyjnym terminem, drugi, który, jak wiadomo, albo „zimę traci, lub ją bogaci”, otworzył skarbiec z zawiejami, z zadymką, zasilił w mróz i śnieg tak hojnie, że bogdaj czy „na świętego Grzegorza pójdzie Wisła do morza”.

Ktoś powiedział, że zima bez śniegu: to jak panna bez posagu. Choćby była najpiękniejsza, zawsze jej czegoś brakuje.

Jeżeli porównanie słuszne, to życzę wszystkim niezamężnym czytelnikom *Tygodnika Ilustrowanego* zalet tegorocznej zimy.

Posag ma suty.

Usypało, jak onych czasów, kiedy to pan Pągowski wioził pannę Sicińską przez radomskie knieje, o czym w „Na polu chwały” czytać możesz.

I dziś, jak ongi, spadły śniegi gęste hen! jak już nie tylko okiem, lecz myślą sięgnąć można. Kopno nad Wisłą i nad Bugiem, i nad Niemnem i nad Wilią, a już w bujnej Ukrainie to śniegu na chłopa, albo więcej.

Depesze sygnalizują codziennie o zatrzymaniu ruchu pociągów, o tysiącach robotników, zaję-

tych rozkopywaniem zasp, o przerwie w komunikacjach.

Miasta i miasteczka na to krzywe, ale wieś nie.

I nie dlatego tylko, że, jak mówi przysłowie, kiedy jeździć—to już sanna.

Są poważniejsze przyczyny.

Zima goła dla rolnika to w większości wypadków zły prognostyk dla przyszłych urodzajów. Zasiewy ozime w r. b. opóźnione. Niektóre



Scena z bajki „Peau d'ane”.

zaledwie powschodziły przed pierwszymi mrozami które matkę-ziemię ścięły. Jest uzasadniona obawa, że mogły uleść „wycięciu” przez suche mroźne wiatry. A na to jedynym ratunkiem: sukmanka śniegów.

Wprawdzie to, co przepadło, przepadło, ale przynajmniej więk'szych

szkód nie będzie, a uratowane pod białą pierzynką śniegów przetrwa do wiosny, która, jak starzy ludzie głoszą, po śnieżnej zimie bywa zwykle i wczesna, i ciepła.

Oczywiście, że zbytek zawsze nie pożądanym, a że śniegu jest do zbytku, być może przeto, że i wsi naszej, która z różnemi zimami zna się dobrze, i obecna, mimo swych dodatnich stron, w tem lub owem nie na rękę.

Krzywi się nań przedewszystkiem inżynier... szarwarkowa i... więcej prenumeratorki gazet.

Bywały dni, w których mimo całego wysiłku gminnych Lessepsów z tej lub owej wioski wydość się nie było podobna. Zadęło, zamurowało śniegiem wyloty Wólek i Dąbrówek.

Daremnie sołtys, zgoniwszy „siarwark”, chciał walczyć z pomocą rydli i łopat z przyrodą. Co rozkopano, to znów zadęło. Ale niema złego, co by na dobre nie wyszło.

Tegoroczna zima przekonała wielu, że nawet na pocztę *viribus unitis* dostać się łatwiej.

Może więc projekt poczt przy urzędach gminnych gdzie łatwiej do skutku.

Projekt ten, opracowany przez główny zarząd pocztowy, ma na celu zaprowadzenie operacji pocztowych przy urzędach gminnych.

Urzędom gminnym polecono porozumieć się z pełnomocnikami gmin, oraz z ludnością wiejską i zebrać dane, o ile w danej miejscowości otwarcie oddziału byłoby pożyteczne i jakiego współdziałania można oczekiwać od jednostek interesowanych i ogółu.

Pomoc jednostek lub ogółu ma polegać: przy za-

prowadzaniu telegrafu przy istniejących oddziałach pocztowych na złożenie jednorazowo 300 rub. i dostarczeniu niezbędnej ilości słupów telegraficznych; przy otwieraniu oddziału pocztowo-telegraficznego na złożeniu jednorazowo 220 rub., udzielenie bezpłatnie lokalu, złożonego z 3—4 pokojów średniej wielkości, oraz opatu i oświetlenia.

W razie zaprowadzenia operacji pocztowych przy urzędzie gminnym obowiązki zarządzającego mogą być włożone na wójta, pisarza lub inną osobę, upoważnioną przez ogół mieszkańców.

Kosztem ogółu również mają być pokryte wydatki kancelaryjne. Być może przeto, że niebawem będzie wieś odbierała gazety i listy o parę dni wcześniej, niż... obecnie.

KAZ. LASKOWSKI.

JÓZEF TRAWIŃSKI:

## Na opuszczonym cmentarzysku.

Zachodzi słońce purpurowe...

Jesienny zwolna kona dzień...

Na opuszczone smutne groby,

Na sarkofagi marmurowe

Fioletowy pełnie cień

Melancholii czy żałoby...

Wokoło cisza... spokój senny...

Wśród sosenpiałych, nagich drzew

Lękliwy wiatr nie zaszleści,

Ni drgnie pozostały liść jesienny!

Z oddali jeno biegnie śpiew,

Łez pełen gorzkich i boleści...

O drzewa bije z łkaniem, trwożą,

W tajemną zmierzchu bije dal

I na mogiły ciche siada

Z szlochaniem za kimś, czy o kogo,

Jak rozpaczliwy głuchy żal,

Aż gdzieś bez echa się rozpada...

I nagle wśród powstałej ciszy,

Jakoby poprzez ziemię wskroś

Głos czyjś echowy, pełen siły,

Rozkołysany duch mój słyszy,

Że wzywa ktoś, że woła ktoś

Z tajemnej głębi, z pod mogiły:

„Tu do nas, do nas, nieszczęśliwi,

„Którym już z bólu brakło łez,

„Którymi miota wciąż cierpienie,

„W mogile tylko dla was, żywi,

„Jest zapomnienie—cierpienie kres

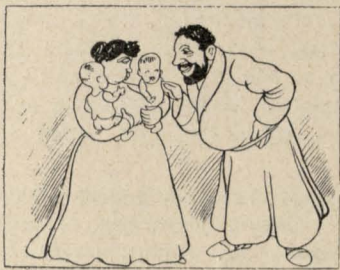
„I wiecznotrwałe ukojenie”...



Po zawiei śnieżnej. Z wystawy Szkoły fotograficznej.



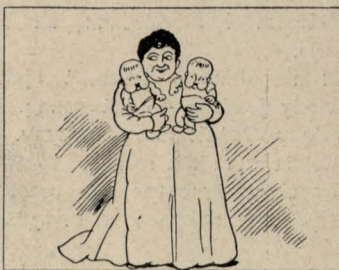
„NIEMA NIC TAK PODOBNEGO DO NOWORODKA, JAK INNY NOWORODEK”. Z TEKI CARAN D'ACHE'A.



1) Małżeństwu Nr 1 urodziła się para bliźniąt.



2) Takie same szczęście spotkało małżeństwo Nr 2.



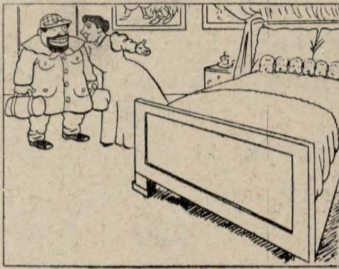
3) Trzecie również. Było to w rodzinie naszego przyjaciela Maryusza, którego nie było w domu od tygodnia.



4) Matki i dzieci zabawiały się razem.



5) — E, oto Maryusz! zróbmy mu kawał!



6) — Kochany Maryuszu, zostałeś ojcem sześciorga bliźniąt.



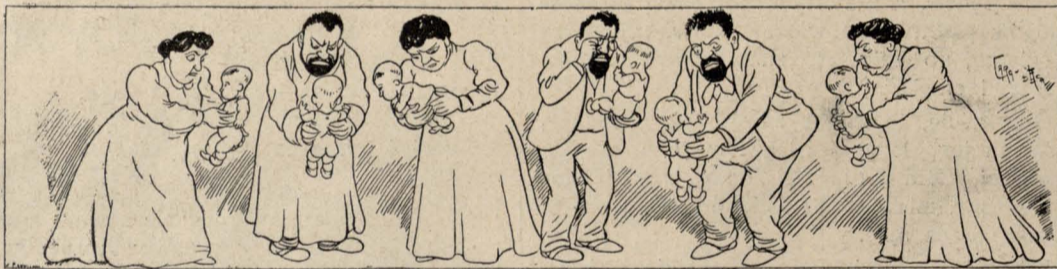
7) — To mnie nie dziwi! Do wszystkiego jestem zdolny!



8) I dalej bawić się z dziećkami. Jakże dzielne!



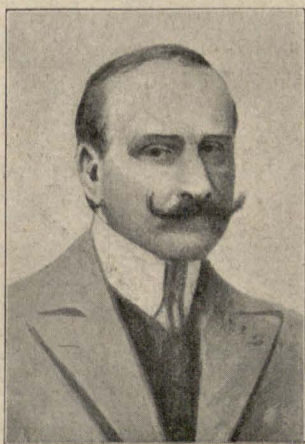
9) — Naciągnęliśmy cię! z tych sześciorga jest czworo naszych.



10) — Ale które? Maryusz tak je pomylił, że już nigdy nie można było ich odróżnić.

## Caran d'Ache.

Francja straciła wielkiego karykaturzystę. Trudno się odznaczyć w tym kraju doskonałych rysowników, w ojczyźnie Gavarni'ego, Chama i tylu innych. A przecież zdołał zająć tu wybitne miejsce Emanuel Poiré, głośny pod imieniem Caran d'Ache'a. Urodzony w Moskwie w r. 1858, zachował z Rosji tylko pochodzenie pseudonimu; przyjechał do ojczyzny swojej odslużując wojskowość i tu już pozostał na zawsze, zdobywając pisma wybitniejsze niesłychanie zabawnymi pomysłami swego ołówka. Kiedy przez jakiś czas pracował



Caran d'Ache.

w *Journalu*, na całym świecie tysiące zwolenników wesołego śmiechu oczekiwało z niecierpliwością jego numerów poniedziałkowych.

Jeżeli Gavarni był w karykaturze historyografem drugiego Cesarstwa, to takim komicznym epikiem ołówka dla trzeciej Rzeczypospolitej jest Caran d'Ache. W tem

znaczeniu przewyższa Chama, a jeżeli nie dosięga może do filozoficznej głębi Gavarni'ego, jest z pewnością od niego prostszy i zabawniejszy. A jako rysownik fachowiec w ustawianiu swoich figur, w pewności sztychu, w prostocie używanych środków mało ma sobie równych.

Wyśmiewa filisteryę demokratyczną, która do wszystkiego może być powołana. Posługuje się do tego przebieraniem w stroje klasyczne, lub wojskowe, stawianiem zwierząt w pozycje życia ludzkiego. Łatwo sobie wyobrazić efekty zbyt grubych lub zbyt cienkich, zbyt wysokich lub zbyt niskich prawodawców i rządców Francji, ubranych w togi i chlamidy. To rysunkowa pieśń bez słów, w której Caran d'Ache celuje. Przewijają się w dziełach jego postaci dnia: Dupuy, pochwycony przez południowców, zdobywających Paryż, głośna filantropka i autorka Séverine z różdżką oliwną, Sara Bernhardt, najgrubszy z krytyków teatralnych, Sarcey, prezydenci Rzeczypospolitej. Dalej—naturalnie—Wilhelm II w pozach różnych, rozmaici egzotyczni monarchowie, zbyt czarni blagierscy południowcy i rastakuerzy. Kucharz Berthelota, ministra spraw zagranicznych, pomylił się i do obiadu urzędowego użył materiałów ze spiżarni Berthelota, uczonego. Oto hekatomba dyplomacji. To znowu żołnierz męzny, zachęcony nagrodą, zdobywa chorągiew nieprzyjacielską. Czeka ją wszyscy na opis bohaterstwa wśród atmosfery kul i granatów. Nic z tego. Żydek spotkał w przeciwnych szeregach Żydkę chorążego. Podzie-

lili się nagrodą, i sztandar przeszedł w inne ręce. Podbój pokojowy! Owdzie trzech uczonych wyrusza na odkrycie Rosy—i przed oczyma naszymi rozwija się śmieszny obraz całych stosunków urzędowych, trudności paszportowych, pijaństwa, bezmyślnych chłopów i t. d. I takich różnych dzieł są setki!

A humor ten prawie nigdy nie bywa złośliwy, lecz zawsze dobroduszny. Każdy rysunek bez ochyby wywołuje niepohamowany, głośny, zdrowy śmiech, nieraz nawet śmiech pamięci, kiedy wyobraźnia przypomina nam dawno widziane karykatury.

Podajemy dziś jedną z nich, z zabawniejszych. Niech czytelnicy nasi śmieją się serdecznie. W tym wypadku będzie to najlepszy hołd, zmarłemu oddany.

ALEXANDER KRAUSHAR.

## ZABYTKI WARSZAWSKIE.

PAMIĄTKA PO SZKOLE GŁÓWNEJ.

W roku bieżącym 1909 upływa *lat czterdzieści* od chwili zamknięcia Szkoły Głównej, która niezatartymi głoskami zapisała się na kartach dziejów naszej kultury umysłowej i której dorobkiem cywilizacyjnym żyje dotąd pokolenie, nam współczesne. Wszystko, cokolwiek ma związek z dziejami owej zasłużonej instytucji i co przypomina fakty i ludzi, z jej niedługim, a tyle owocnym skojarzone bytowaniem, stanowi i stanowić winno drogą dla nas pamiątkę. Jedną z owych pamiątek zachowała się w dobytku, pozostałym po ś. p. profesorze Antonim Okolskim, jednym z pierwszych uczonych, powołanych w początkach istnienia Szkoły Głównej na katedrę prawa karnego, a następnie i cywilnego, b. wydziału prawa i administracji.

Wyobraża ona symboliczną walkę wychowawców wszechnicę warszawskiej o zdobycie dyplomu magistrackiego podczas egzaminów ostatecznych i charakteryzuje stosunek ich do ciała profesorskiego, w większych lub mniejszych wymaganiach, jakie ono w takiej stanowczej chwili słuchaczom swoim stawiało.

Pomimo serdecznego stosunku, utrzymywanego między profesorami a słuchaczami, nikt z nas, wychowawców Szkoły Głównej, nie mógł żywić nadziei, by podczas uroczystych chwil egzaminów ostatecznych spotkać się mógł z pobłażliwym traktowaniem ze strony egzaminujących odpowiedzi na zadawane z wysłuchanego kursu pytania. Odpowiedzi takie musiały być kategoryczne, jasne i wymotywowane, jako dowód, że słuchacz uważnie śledził całość wykładu, że z osnową jego gruntownie się oswoił i znaczenie przepisów prawa w ogólności i w szczegółach dokładnie rozumiał. Najłżejsza chwiejność w odpowiedziach pociągała za sobą niemile następstwo—odpadnięcie od egzaminu i konieczność powtórnego wysłuchania kursu w roku następnym.

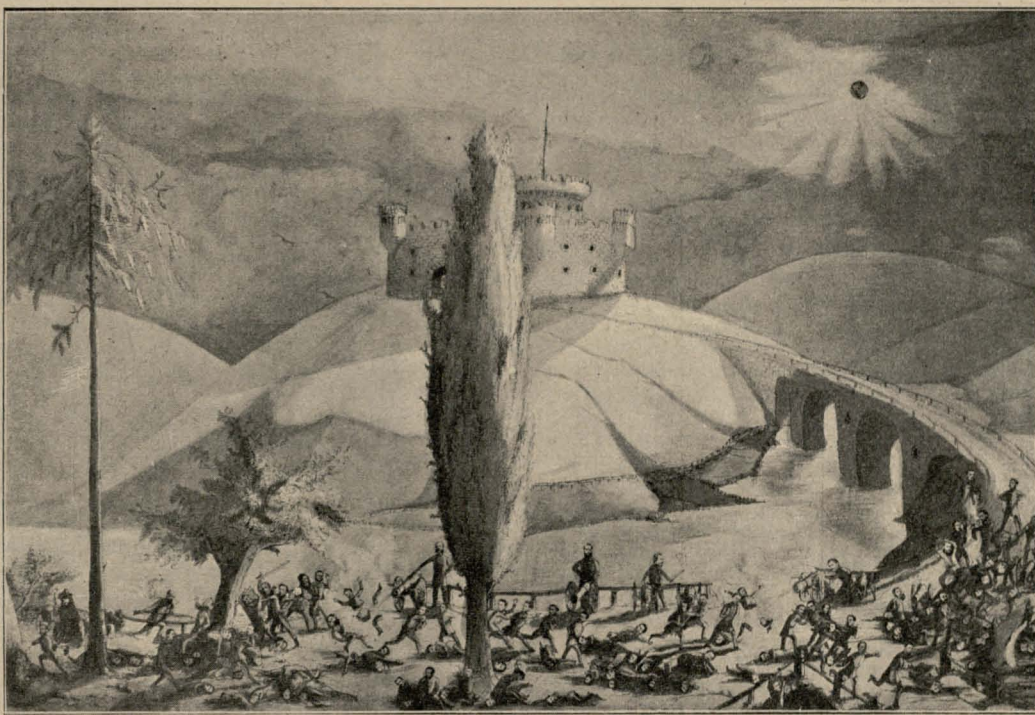
Takie to właśnie zapasy egzaminowanych z armią profesorską, uzbrojoną w groźne nieprzyjacielskie przyrządy, przedstawia nam symbolicznie reprodukowana tu rycina nieznanego jakiegoś domośnego rysownika, słuchacza wydziału prawa i administracji.

W głębi rysuje się zamek warowny, symbolizujący dyplom pożądany, o którego zdobycie młodzi akademicy się kuszą. Oświetla go i ogrzewa słońce pod postacią czcigodnego rektora Mianowskiego. Forteca otoczona jest fosą, przez którą prowadzi most, strzeżony przez dziekana Kasznicę.

W odstępach nad fosą ustawieni są profesorowie wydziału o minach groźnych, strzegący czujnie, by nikt z niepowołanych do fortecy się nie dostał.

Z lewej strony profesor ekonomii politycznej, Korzybski, przebija bagnetem zuchwałych, lecz nieopatrznych rycerzy. Nieco dalej profesor procedury cywilnej, Chwalibóg, rąbie mieczem, sze-





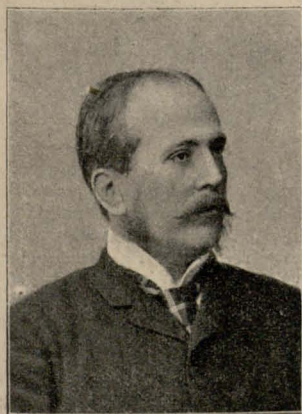
Walka o dyplomy na wydziale prawnym Szkoły Głównej. Karykatura współczesna.

rząc wokoło siebie zniszczenie w postaci trupów i rannych. Dalej Białecki, profesor prawa międzynarodowego, strzela do atakujących z armaty ciężkiego kalibru. Pod wysoką topolą widać zrozpaczonych, gotowych spełnić na sobie akt samobójstwa. Profesor skarbowości, Oczapowski, stoi przy armacie w postawie wyczekującej. Profesor procedury karnej, Okolski, trzyma lont w ręku. Profesor prawa cywilnego, Holewiński, otoczony jest stosem ofiar. Profesor procedury karnej rzymskiej, Miklaszewski, zadaje maczugą straszliwe ciosy, sprawiając istną hekatombę ofiar. Budziński, profesor prawa karnego, potrząsa łańcuchami. Niewielka jedynie liczba zapaśników zgromadzona jest przy zbawczym moście, do fortecy dyplomowej wiodącym.

Pomimo rzekomej bezwzględności profesorskiej, na rysunku przedstawionej, w rzeczywistości sprawa tak groźnie się nie przedstawiała. Dowodem tego jest niesłychanie mały procent „trupów”, poległych przy egzaminach ostatecznych Szkoły Głównej, natomiast znamienne wielka liczba tych, co, zdobywszy dyplom magisterski, opuścili mury ukochanej wszechnicy z wdzięcznym wspomnieniem o tych, którzy byli przewodnikami ich prac akademickich i umieli zaszczyć w swych słuchaczach zamiłowanie do nauki.

## Nowy minister dla Galicji.

Miejsce konserwatywnego Abrahamowicza, który ustąpił wskutek zatargu z Kołem, zajął desygnowany *ad hoc* przez większość Koła wytrawny polityk demokratyczny, dr Władysław Dulęba. Nowy minister liczy dziś lat 58 i z zawodu jest adwokatem. W życiu publicznym bierze on udział od dawna, najpierw jako członek Rady m. Lwowa, a od roku 1897 jako poseł do parlamentu. Spokojny, zrównoważony, ogromnie elegancki i układny, dr Dulęba jest typem polityka, który nie zwykł troszczyć się o trybunę parlamentarną i hałaśliwą popularność. Siła jego tkwi w wielkiej umiejętności prowadzenia tych niezliczonych rokowań i konferencji, które wypełniają życie poli-



Dr. Władysław Dulęba.

tyczne Austrii. W tej dziedzinie dr Dulęba dowiódł już niejednokrotnie swego talentu, który też, znalazłszy jak najszerze pole zastosowania, odda Galicji i społeczeństwu polskiemu niewątpliwie poważne usługi. □

## Dr. Leonard Piętaś.

W chwili właśnie, kiedy demokracja polska ma zasiąść na fotelu ministra dla Galicji, niedawny jego poprzednik na tem stanowisku, dr Leonard Piętaś, przeniósł się do wieczności dnia 25



Leonard Piętaś.

lutego. Politykiem nie był. Więcej zajmował go nauka i nauczanie na uniwersytecie lwowskim, niż „fabrykowanie historii”. W polskich jednak warunkach życia publicznego, gdzie na każdym polu brak ludzi, jeden człowiek musi spełniać czasem kilka równocześnie różnorodnych zadań. I kładą mu ich na barki tem więcej, im zdolniejszy jest, pracowitszym i ofiarniejszym dla społeczeństwa. Tak było i ze ś. p. Piętaś. Z usposobienia i zamiłowania pedagog i uczonec, po otrzymaniu w 35 r. życia zwyczajnej profesury prawa wekslowego i handlowego na uniwersytecie lwowskim (r. 1876) ś. p. Piętaś cały oddał się swemu zawodowi, nie myśląc o polityce. Wykładał jasno i treściwie, nienawidził frazesów pustych i błagi. Naukę pojmował, jako cel wysoki i sam sobie wystarczający. Legiony słuchaczy, które przeszły przed jego katedrą, pamiętają go dobrze. Był postrachem przy egzaminach, a mimo to cieszył się sympatją, ponieważ znano i ceniono jego absolutną sprawiedliwość. Grono profesorskie ceniło go również wysoko, czemu dało wyraz, wybierając go swoim dziekanem trzykrotnie, a rektorem dwukrotnie.

Do polityki wszedł ś. p. Piętaś przez radę m. Lwowa, w której skład zaufanie szerokich kół wyborców powołało go w r. 1883. Przez dziesięć lat pracował cicho, skromnie. Wymowne były tylko rezultaty tej pracy. Uznano je znowu i nakłoniono, aby zgłosił swą kandydaturę po mandat poselski, opróżniony po ś. p. Franciszku Smolce. Odtąd niemal wbrew swej woli musiał punkt cięż-

kości swej niestrudzonej pracy przenieść z uniwersytetu do parlamentu. Obarczony mnóstwem trudnych referatów, szczególnie z dziedziny sądownictwa, ś. p. Piętaś załatwiał je jeden po drugim szybko i sprawnie, zaskarbiając sobie uznanie na tym nowym gruncie, jako pierwszorzędną siłą roboczą w parlamencie. W r. 1899 wybrano go na pierwszego wiceprezydenta parlamentu. W rok później zaś dr. Koerber, tworzący wówczas swój gabinet, zaproponował mu ministerium dla Galicji. Na tem stanowisku pozostawał ś. p. Piętaś aż do końca roku 1906, poczem ustąpił, aby w zaciszu domowym i wśród przyjaciół wieść resztę życia, o którym nikt nie przypuszczał, że nic jego zerwie się tak prędko i nagle.

Z działalności naukowej pozostało po ś. p. Piętaśu wiele cennych dzieł i rozpraw z dziedziny prawa handlowego i rzymskiego, które długo jeszcze będą przypominały młodym adeptom jurisprudeneyi tę surową, a tak sympatyczną postać.

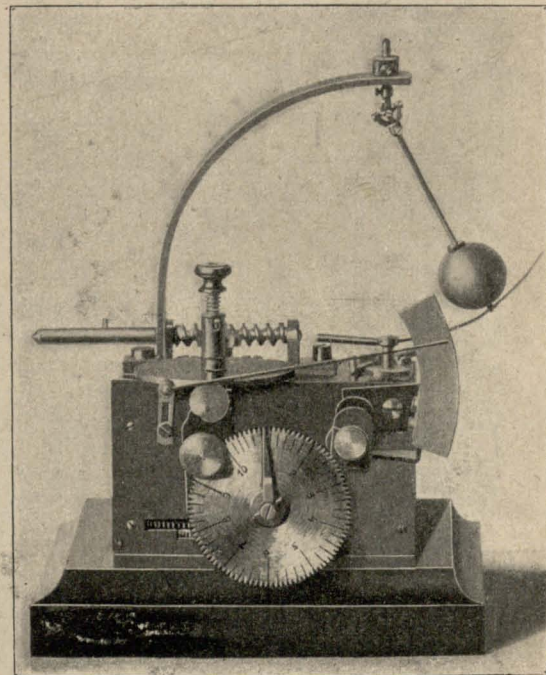
## Rytmoskop pomysłu

Michała Sigalina.

Gimnastyka płucna, której zadaniem jest pogłębienie oddechu, wzmocnienie wentylacji płuc, ich lepsze odżywianie, a nawet zwiększenie t. zw. życiowej pojemności płuc, zyskała świeżo nową metodę techniczną dzięki bardzo dowcipnie pomyślanemu przyrządowi, który wynalazca jego, Warszawianin, p. Michał Sigalin, oznaczył nazwą *rytmoskopu*.

Podstawową ideą przyrządu jest wyzyskanie skłonności naszej do naśladowania. Mechanizm zegarowy w przyrządzie tym porusza wskazówkę, która wykonywa ruchy identyczne z oddechem w górę i na dół i zmusza niejako nas do równoczesnego wykonywania wddechów i wydechów sposobem poprostu psychologicznym. W ten sposób można osiągnąć ściśle stopniowanie głębokości oddechu, ponieważ przyrząd bardzo łatwo reguluje się i nawet różne typy oddychania może wskazywać. Przyrząd pokonywa niejako inercję naszą i z tych też powodów stanowi niewątpliwą przyczynę do postępu gimnastyki płucnej: mogąc z powodzeniem znaleźć zastosowanie z osobnikami, wadliwie oddychających przez nałóg, przy nauce śpiewu, jak również i przy wadach mowy.

Rytmoskop był demonstrowany przez wynalazcę na kongresie terapii fizycznej w Rzymie, w Towarzystwie Lekarskim w Wiedniu, oraz w naszym Towarzystwie Hygienicznym w gronie specjalistów, zyskując uznanie sekcji biologicznej, prztem zwrócono uwagę, iż byłoby pożądanem zbudowanie większego przyrządu podobnego do zbiorowego użytku w szkołach.



RYTMOSKOP.





Adam Herse.



Joanna Hersowa.

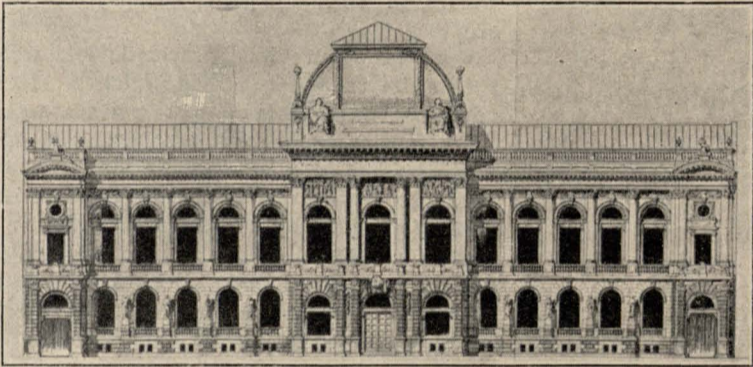
## Srebrne gody.

Znana w szerokich kołach naszego miasta, rodzina kupca warszawskiego, pp. Adamstwo Hersowie obchodzili niedawno jubileusz srebrnych godów. Zdawałoby się, jubileusz, jak każdy inny. A jednak—nie. Upamiętniła go przedewszystkiem wspólna zabawa, świadcząca o serdecznym stosunku, jaki łączy jubilatów z licznym gronem pracowników, a co ważniejsza, różne ofiary na cele publiczne w sumie 10,000 rb., z nich na szczególne wyróżnienie zasługuje dar 5,000 rb. na założenie własnego letniska dla pracujących w firmie, oraz 500 rb. na ich kasę przeznaczenia. Nadto pracownicy firmy złożyli ofiarę 200 rb. na „Posiłek.” Tak uroczystość rodzinna dała powód do pożytecznego dzieła społecznego.

## PRZEGLĄD PRASY.

Pod dobrą wróżbą rozpoczyna *Sfinks* drugi rok swego istnienia: pod wróżbą Juliusza Słowackiego. W pierwszym bowiem zeszycie z tego roku jubileuszu pieśniarza „Króla Ducha” ogłasza konkurs poetycki jego imienia na poemat w rodzaju „Konrada Wallenroda”, „Maryi”, „Lambra”, „Ojca zadumionych”, by choć w ten sposób przyczynić się do uświetnienia stulecia urodzin wieszczki w Warszawie.

„Nie może Naród w roku jubileuszowym—



Projekt konkursowy gmachu Towarzystwa Kredytowego miejskiego przy ulicy Włodzimierskiej. Nagroda I-sza. Architekci: H. Stifelman i St. Weiss.

## Nowa mapa.

Jako wydawnictwo *Kuryera Litewskiego*, opracowana przez Benedykta Hertza, wyszła mapa Litwy i Białorusi, sześciu gubernii: wileńskiej, kowieńskiej, grodzieńskiej, mińskiej, mohylowskiej i witebskiej. Mapa jest bardzo szczegółowa i odznacza się przejrzystym układem; zapewnia brak do tychczasowy i dlatego znajdzie z pewnością szerokie rozpowszechnienie.

pisze redaktor *Sfinksa*, p. Władysław Bukowiński—wzniesie Słowackiemu w Warszawie posąg z granitu i spiżu, ale poeci polscy mogą i powinni w Imię Jego, pod Jego patronatem i wezwaniem stworzyć szereg utworów, godnych Jego pamięci. W tej myśli, pragnąc przyczynić się do uczczenia Juliusza Słowackiego i do wskrzeszenia zaniedbanego dziś kształtu poetyckiego, od którego Ontwórczość zaczynała, w którym On i Jemu współcześni pozostawili szereg arcydzieł, redakcja *Sfinksa* ...wzywa wszystkich poetów polskich do wzięcia udziału w tym szlachetnym turnieju.

Pod takimi auspicjami rozpoczynając drugi rok działalności, *Sfinks* każe dobrze wróżyć o sobie, tem bardziej, że pierwszy jego zeszyt, tak w dziele prozy (Świętochowski, A sk e n a z y, Kraushar), jak i poezji (Kasprowicza przekład Ajschylosa „Prometeusza skowanego”, oraz bogata wiązanka poezji, z pięknym wierszem Konopnickiej pod tytułem: „W Kartuzi” na czele), przedstawia się niezwykle bogato i interesująco.

## Pokłosie wydawnicze.

Zofia Chyłewska Wojciecha. Listy do Pana Boga. Dziennik grzesznej dziewczynki. Lwów, księgarnia Połanieckiej, Warszawa.

Ubrane w szatę niewinną, są te listy do Pana Boga bardzo poważnym przyczynkiem do ustalenia zależności naszej od praw przedwiecznych. Nie jest to książka dla dzieci, choć i dzieci czytać ją mogą, ani książka dla pedagogów, jest to raczej taki sam problemat etyki ogólnej, jakimi nas karmią Leonowie Bloy i Daudet, Mirbeau, Bourget, Rosny i wszyscy zresztą ludzie czuli, którym się na świecie mizernie widzi. Artyzm tu potrzebny, jako pretekst, a potem jako zdolność odczuwania i przyoblekania w formę piękną powszednich zjawisk codziennego życia. Obok artyzmu, wiele współdziałał chłodny rozsądek, i ten może łatwiej przekonać ludzi poważnych, gdy artyzm rozrzewniać będzie ogół. Ludzi, którzy w niezgodzie żyją z prawami świata, jest moc wielka i rozmaite drogi przed nimi. Do nich należy i Anusia Lewicka, bardziej subtelna, bardziej serdeczna i tem bardziej sympatyczna. Chciało się dziecku zostać świętą. Cóż łatwiejszego napozór. Ma się przepisy, które można nawet obostrzyć. Robi się tedy dobre uczynki, ofiarowuje się swoje przyjemności Bogu i jest się na najpewniejszej drodze uzyskania łaski Bożej. Było tylko spełniać „obowiązki”, byle tylko być w zgodzie z „sumieniem”, byle nie „grzeszyć”. Ale niełatwa to sprawa. Jeden dzień przeżyć jest trudno i wnet otwiera się droga straszna, w której niema pociechy, tylko coraz straszniejsze cierpienia. To jest owa „selva oscura”, o której mówi Dante, owa pustynia, w którą śpieszył objuczony wielbłąd, co pokornie zginał kolana, aby dużo ciężaru wziąć na siebie. I takie życie opowiada nam Anusia Lewicka z przejmującą szczerością, z prostotą dziecinną, to straszne życie, które radziłyśmy poprawić jedynym uściskiem, jedynym wyrwaniem z tego nieszczęsnego koła, jednym zapewnieniem: „nie bój się, tam nie ziemia.” Ale tego nie powie jej nikt, bo i ona nikomu nie powierzy tajemnicy, bo nikt nie pojmie udręczeń tego dziecka, chyba taki, co jednak z nią cierpi i jednakowo wyjścia nie znajduje. Świat nie zwraca na to uwagi i nazywa stan podobny egzaltacyą. Matka, nawet najbardziej czuła, przypomni sobie dawne własne walki i zatwoży się o zdrowie. Ale Anusi Lewickiej ani lekarstwem, ani pożywieniem, ani odpoczynkiem wyleczyć się nie da. Dnie przyjemności i rozrywki mogą odsunąć od niej na chwilę widmo winy i pragnienie doskonałości, ale go nie zabiją. Sama musi przejść to cięższe od walki zwycięstwo, własnymi rękami zadusić gada, który jej piersi okrażał, zbuntować się musi. I ten bunt przychodzi może z powodów rozmaitych, ale przychodzi wreszcie, kiedy nauczyły się już oczy oglądać niesprawiedliwość, kiedy przekonało się serce o samotności swej i niedoli.

Dr Wacław Morawewski.

## ZMARLI.

WŁODZIMIERZ GNIEWOSZ uosabiał typ staro-szlachcica kresowego. Złote serce, nieoceniony towarzysz, pogodny, niezbyt do głębokich dociekań skłonny umysł, stałość uczuć, a przy tem wszystkim ta zawadyacka junackość, która każe ręce szukać głowicy szabli nawet wówczas, kiedy zamiast w kontuszu przy karabeli jest się tylko w zwyczajnej kosmopolitycznej „marynarce”. Takiego Gniewosza znali wszyscy i wszyscy go serdecznie kochali. Od dumnego dworu rakuskiego, gdzie nieubłagana w swej sztywności etykieta sta-

duszości. Kiedy przekonał się, że coś jest złe, kiedy zrozumiał, że powinno być inaczej, wówczas z konserwatywnego „Podolaka” stawał się radykałem. Tak było w czasie walki o powszechne głosowanie do parlamentu. Ś. p. Gniewosz, jedyny z pośród swoich towarzyszy z pod znaku konserwatywnego, miał odwagę oświadczyć się za uobywateleniem mas, aczkolwiek powszechne głosowanie właśnie położyło kres jego działalności parlamentarnej. Rycerskość jego natury kazała mu grawitować ku armii. Młodość spędził, jako chwacki kirasyer, później zaś w parlamencie zajmował się sprawami wojskowymi najchętniej i z największym zapałem. Dużą popularność zjednał mu przed jedenastu laty wyzwanie znanego krzykacza swojeńniemieckiego, Wolffa, za to, że w jakimś swym wystąpieniu parlamentarnym obraził narodowość polską. Pamiętka z tego pojedynku, w postaci dużej szramy na brodzie, została już Gniewoszu na zawsze. Na zakończenie parę dat z biografii ś. p. Gniewosza. Urodził się w Czernelicy w Galicyi wschodniej w roku 1841. Wychowany w pierwszym zakładzie wojskowym, w „Theresianum”, był jakiś czas paziem na dworze wiedeńskim, poczem został porucznikiem w pułku kirasyerów. W roku 1866 brał udział w wojnie z Prusami; wystąpiwszy z czynnej służby w randze rotmistrza w roku 1890, zaraz następnego roku wszedł do parlamentu, jako poseł z wielkiej własności, gdzie pracował ofiarnie i chętnie do roku 1906.

KONRAD ZIENKIEWICZ, szanowany powszechnie obywatel ziemski, delegat T. K. Z.



zmarł w majątku Kobieli, w wieku lat 62; zmarły, jako młodzieńki chłopiec, wzorem tylu innych walczył w szeregach powstańców.

PELAGIA DĄBROWSKA. W sześćdziesiątym czwartym roku życia zmarła w Krakowie dnia 12 b. m. Pelagia Dąbrowska, wdowa po Jarosławie Dąbrowskim, generale komuny, który zginął w czasie walk ulicznych w Paryżu. Ś. p. generałowa zapisała się w historii ostatniej naszej walki o wolność swoim bardzo gorącym i wydatnym udziałem w okresie manifestacyjnym powstania polskiego. Potem udała się w głąb Rosyi, aby mężowi swojemu, Jarosławowi, który porzucił stanowisko oficera sztabowego w armii rosyjskiej



i wziął udział w przygotowaniu powstania, udało się ucieczkę. Razem z mężem przez Szwecję wyjechała nieustraszona niewiasta do Paryża, gdzie długi jeszcze czas skupiała koło siebie gorętsze żywioły rewolucyjne, zarówno polskie, jak i obce. Owdowiawszy, powróciła ś. p. Pelagia do Krakowa, gdzie oddawała się pracy pedagogicznej w jednej z tamtejszych szkół żeńskich, u wszystkich skarbiąc sobie nieklamana sympatyę słodzącą swojego obejścia, które niezwykła ta kobieta umiała łączyć z niepospolitym hartem charakteru i idealną czystością uczuć.

## REKLAMY

KSIĘGARNIA Fr. RACZKOWSKIEGO LUBLIN, KRAKOWSKIE-PRZEDMIEŚCIE 36, przeszła na własność GEBETHNERA i WOLFFA.

LEOPOLD KOCH, MIODOWA 2. „ENGLISH CLOTHING HOUSE”.



Obyczaje patryarchalne: władca Czarnogóra, ks. Mikołaj, przyjmuje hołdy swoich poddanych i udziela im audiencji.

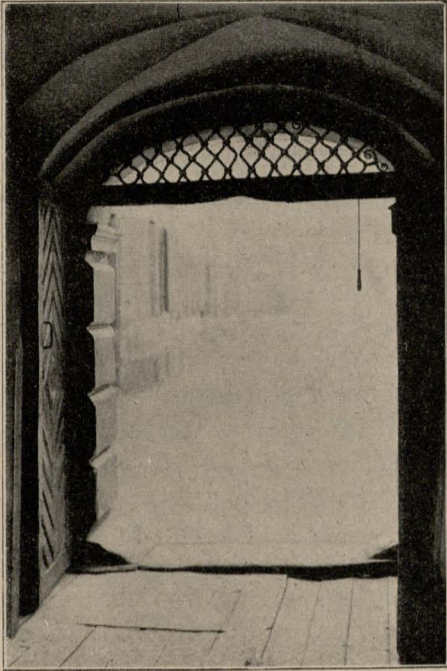




WIKTOR GOMULICKI:

## OSTATNIE...

Wyrażenie „dzwonić do bramy”, tak za dni naszych pospolite, w dawnych wiekach nie było Warszawianom znane. Istniały dwa do tego powody, oba zupełnie wystarczające.



Ostatni „judasz” w bramie domu Nr 12 przy ulicy Krzywe-Koło.

Najpierw—nie było wówczas bram. Następnie—nie było wówczas dzwonek.

Ściśle mówiąc, mieliśmy już przed wiekami i jedno, i drugie, ale nasze dawne „bramy” i „dzwonki” nie miały tego, co dziś, znaczenia.

Bramą, albo „broną” nazywało się niegdyś wyłącznie wejście do miasta, w murze obronnym istniejące. Źródłosłowem bramy, czyli brony, jest „obrona”. Bramy miejskie były rodzajem fortów, zaopatrzone w fosy, mosty zwodzone, strzelnice, a nadto w zbrojną załogę i straż, pilnującą wejścia.

Dzisiejsze bramy wjazdowe nazywano „wrotami”. W mieście posiadały je tylko: pałace magnatów, gmachy publiczne i klasztory. Istnienie bramy było zawarunkowane istnieniem dużego dziedzińca; domy zaś mieszkańców w Starej Warszawie poprzestawały na maleńkich, do studzien podobnych podwórkach.

Nakoniec, wejście do kamienicy, zwane po dzisiejszemu bramą (i w większości wypadków bramą będące), nosiło w dawnych wiekach miano „furty” (pisano ten wyraz: „fórta”, a wymawiano „forta”).

Wszystkie kamienice staromiejskie, zarówno w Rynku, jak w ulicach przyległych, posiadają furty. Te furty są poprostu mocnymi, dębowymi, grubą blachą żelazną okutymi drzwiami. Umieszczone w mniejszym lub większym zagłębieniu, mają zawsze obramowanie kamienne, oraz przejrzysty „supraport”, zwykle misterną ślusarszczyzną ozdobiony.

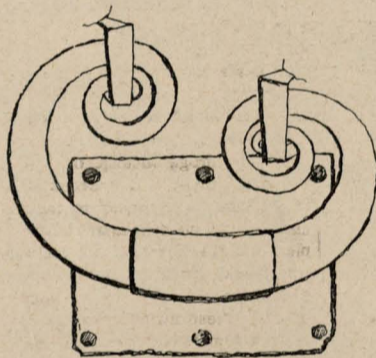
Otóż przy takich furtach miejsce dzisiejszego dzwonka zastępowała przez długie wieki „kołatka”. Chcąc się w owych czasach dostać nocą do domu, nie dzwoniło, lecz kołatano. Kołatki były dwójakiego rodzaju. Składały się albo z młotka, na łańcuchu lub „powrozie” zawieszono, którym uderzano w umyślne, blachą wyłożone wgłębienie, albo też z ruchomej, żelaznej lub mosiężnej, niekiedy bardzo ozdobnej antaby, którą ujmowało się ręką i stukano w przybitą tuż pod nią blachę.

Kochanowski w swych „Żalach fórtu”

takimi słowy każe jej na nocne niepokoje narzekać: „Użałuj się kto dobry, a potłucz zawiasy i mnie same wrzuc w ogień! bo prze te niewczasy dobrze już nie szaleję, ja, fórt strapiona... Co tu za mej pamięci powrozów stargano, wrzeczadzów ukręcono, młotków skołatano! Teraz już głowicami (szabel) łotrowstwo mię tłucze, a ubogi gospodarz chowa pod się klucze”. Musiało być owo kołatanie w najwyższym stopniu nieznośne, skoro późniejszy nieco od Kochanowskiego Stanisław Grochowski zanosi do króla suplikę rymowaną p. t. „Skarga obciążliwa snu nocnego”, gdzie mówi:

...Pełno kołatania,  
Tak że niejedna głowa boleje bez spania,  
...Większa pono bezpieczeńność w puszczy, między lasy  
I między dzikim zwierzem, niż tu, gdzie sądowe Pałace,  
gdzie majestat, gdzie miejsce sejmowe....

Jeszcze przed dwudziestu kilku laty można było w Warszawie, w dzielnicy staromiejskiej odnaleźć prastarą, przez czas oszczędzoną kołatkę. Ś. p. Adryan Głębocki, malarz, a zarazem miłośnik i skrzętny poszukiwacz pamiątek historycznych, odszukał i dla *Tygodnika Ilustrowanego* odrysował kilkanaście tych cennych zabytków przeszłości. Dziś już ich niema. Ostatnia ze znanych piszącemu to kołatek znajdowała się na Rybakach, na bramie ogrodu klasztoru Panien Sakramentek. Dostrzegłem ją tam i odfotografowałem wraz z całą bramą przed czterema laty. Gdy w półtora roku później fotografowano tę bramę (która przy rozszerzeniu ulicy miała być usunięta) na użytek *Tygodnika Ilustrowanego*, już na tem zdjęciu kołatki nie było. Co się z nią stało, nie wiem. Jeśli kto tę pamiątkę przechował, powinien



Ostatnia kołatka w Warszawie na bramie klasztoru PP. Sakramentek od strony Rybaków.

przesłać ją „Tow. miłośników Starej Warszawy”, które ją do swych zbiorów włączy i przechowa.

Z tego zdjęcia wykonano rysunek, dołączony do niniejszego artykułu.

Ostatnia kołatka warszawska była żelazna, bez wszelkich ozdób, budowy zupełnie prostej. Składała się z antaby, zawieszonoj nad przybitą do bramy blachą. Wykwintniejsza robota i droższy metal skusiłyby już dawno „amatorów cudzej własności”, w których tamte strony obfitują.

Kiedy mowa o pamiątkach warszawskich, to zapiszemy przy sposobności zniknięcie innej, również w swoim rodzaju jedynej. Był nią „gaśnik”, czyli kamień z okrągłymi wyłobieniami, służącemu do gaszenia pochodni. Leżał ten kamień do ostatnich dni obok bramy wielkiej posesyi, zwanej „domem Grabowskich”, a będącej przedtem pałacem Teppera. Leżał, nikomu przez dziesiątki i setki lat nie wadząc; nowy właściciel, zapewne dom swój „modernizując”, kazał tę niepotrzebną starzyzną wyrzucić. Zaopiekowało się nią „Towarzystwo miłośników Starej Warszawy” i zapewne od zagłady ochroni.

Wielki dom, przed którym omawiane kamienie leżały, zachował do naszych czasów swój pierwotny, nieco dziwaczny kształt... skrzynki kasowej, jaki, według tradycji, nadać miał swej posesyi bankier Tepper, wznosząc

ją około roku 1775. Czy kamienie przez niego dopiero zostały tu umieszczone? Przypuszczamy, że nie. Ulica Miodowa już od czasów Sobieskiego była gęsto zabudowana pałacami magnackimi. A i wcześniej nawet, bo w pierwszej połowie XVII-go wieku, stał w tem miejscu dom, który Jarzembski w swym „Gościńcu” nazywa „kamienicą Firlejowską”, mówiąc o nim: „Mijam Miodową przecznicę, aż tam widzę kamienicę, *Firlejowską* tak nazwaną, z ogrodem, obmurowaną”...

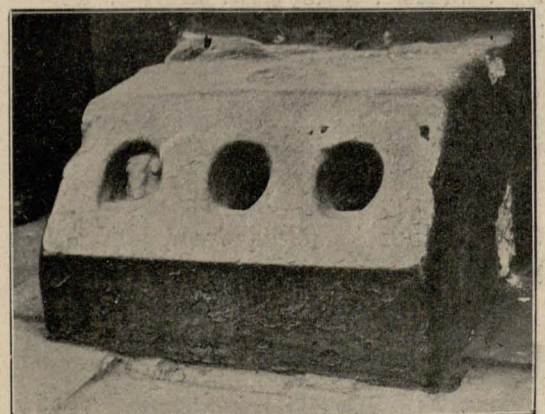
Jest rzeczą niemal pewną, że już tamta kamienica była w kamienne „gaśniki” zaopatrzona. Posiadały je domy wszystkich dygnitarzy, którzy dostojnych gości u siebie przyjmowali, a należał przecie do ich liczby Henryk Firlej, biskup płocki, podkanclerzy koronny. Po śmierci Firleja posesorami kamienicy byli również biskupi: najpierw krakowski, później przemyski. Następnie posesya przechodziła nieustannie z rąk do rąk, i posiadali ją kolejno: Winkler, pisarz skarbowy koronny, Juszyński, cześnik podolski, Leullier, szambelan królewski, wreszcie Sołtyk, biskup krakowski. Od ostatniego nabył ją bankier Tepper i gruntownie przebudował. Ale prawie wątpić nie można, że już owe gaśniki pochodniowe znalazł na gruncie i dla siebie oraz dla następców swych zachował.

Oświetlenie Warszawy jeszcze w drugiej połowie zeszłego wieku było bardzo lichy. Poprzednio, aż do roku 1771, wcale go nie było. W najlepszym razie oświetlano tylko bramy miejskie, początkowo kagańcami ze smolnego łuczywa, następnie lampami olejnymi. Z tego właśnie powodu nie tylko dygnitarze, ale i zamożniejsi mieszczanie, wybierając się w odwiedzin w porze wieczornej, byli przeprowadzani przez służbę z pochodniami. Magnaci mieli szybkonogich „laufrów”, którzy biegli przed pojazdami, trzymając w ręku pochodnie zapalone.

Gdy pan bawił w gościnie, służba czekała przed bramą, pochodnie zgasiwszy. Aby przy tem gaszeniu ogień nie został zaproszony, umieszczano przy domach kamienie z wydrążeniami, w których płomień był przyduszany.

Zamykam tę notatkę wzmianką o jednym jeszcze, również zapewne ostatnim zabytku przeszłości, znajdującym się na Krzywem-Kole pod numerem 12 (hipotecznym 187).

Tym zabytkiem jest tak zwany „judasz”, zastępujący ongi dzisiejsze oszklone okienka w bramach, ale dowcipniejszy od nich i... chytrzejszy (stąd nazwa). „Judasz” na Krzywem-Kole składa się z trzech otworów, z których dwa górne były przeznaczone dla oczu, a dolny dla ust. Te otwory, od ulicy prawie niedostrzegalne, zakryte były od wewnątrz klapą ruchomą, która wedle potrzeby dawała się podnosić i opuszczać.



Ostatni gaśnik przy ulicy Miodowej.





Gotard Assernhof

K. GORSKI

— Cóż, panowie młodzi, nie bawicie dam?—rzekł Chmara do grupy Rokszycyckiego i Zasławskich, zwracając się spojrzeniem do Kazimierza.—Pani marszałkowa Wiliaszew nudzi się. Po wieczery potańcujemy.

Rokszycycki powstał z krzesła przez zasadnicze uszanowanie dla starszego, Miś Zasławski oddalił się, a Beno rozparł się właśnie na krześle, jakby zaznaczając, że ani mu się śni powstać.

— Czy poznał pan już wszystkich?—ciągnął dalej Chmara—może przedstawić pana?

— Dziękuję, znam już wszystkich—skłonił się Kazimierz.

Chmara poszedł dalej, a gdy się odwrócił, Beno z komiczną furią pokazał mu język.

— A to co?—zapytał Kazimierz.

— Stary „drań”—mrucał Beno—do tańca zaprasza, a obaczmy, czy choć da szampana? Kutwa taki.

Chmara tymczasem majestatycznym po-

chodem doszedł do kanapy, na której nudził się Apolinary Budzisz, i usiadł przy nim. Budzisz wobec Chmary tracił swą przyrodzoną fantazyę pod wpływem osobliwego wrażenia. Miał sobie za obowiązek poznać go bliżej i wy badać, ale do tego obowiązku nie czuł serdecznego popędu. Rozmowa z Chmarą przychodziła mu trudno, jakby z osobą obcego jakiegoś autoramentu, jak naprzykład z generałem.

— Jakież szanowny pan wyniósł wrażenie z naszych obrad?—zapytał grzecznie Chmara.

— Bardzo pouczające—odpowiedział z równym ugrzecznieniem Budzisz.

— Tym razem wypadło nam mówić o samych kwe-

styach ekonomicznych—ciągnął dalej Chmara.—To zresztą podstawa i treść główna naszych interesów miejscowych.

— Trudnoby i radzić o sprawach poufalszych w gronie tak... szerokim.

Pan Eustachy przeżuł tę uwagę i zamknął zupełnie oczy, skupiony w smakowaniu; nie zmienił jednak ani tonu, ani postawy, okazał rozpartej.

— Szanowny pan mówi zapewne o udziale Rosyan w obradach? To są współobywatele naszej gubernii, ludzie zupełnie z nami jednomyślni.

— Czyż zupełnie, dobrodzieju mój?

— Pan marszałek Wiliaszew jest jednym z najliberalniejszych ludzi w Rosyi; pan Kozłow także. My naszych sąsiadów Rosyan przypuszczamy do wszystkich krajowych robót. My nie spiskujemy, panie. Panowie nie chcecie tego zrozumieć. Wyście przywykli do spisku, do budowania na idealnej przyszłości; robicie rzeczy wielkie, ale nie

realne. A my tu, panie, pracujemy na możliwe jutro.

Pan Apolinary sapnął:

— Co za spiski, dobrodzieju mój? Toć my pracujemy jawnie i także dla naszego jutra. Chodzi o to, jakie ma być jutro.

— Chodzi właśnie o to. Wasza przyszłość jest od naszej odłączona z powodów etnograficznych i ekonomicznych. Odmienne mamy cele i odmienną taktykę. Mieszkając w kraju o ludności mieszanej, musimy się liczyć z potrzebami każdego szczepu. Litwin, Białorusin, Rosyanin, Polak muszą u nas mieć zagwarantowane swoje prawa osobne. Ale wszyscy razem winni współdziałać w interesie państwa. Sprawiedliwość dla wszystkich, ale jeden też dla wszystkich obowiązek. Rozumie pan?

Budzisz odpowiedział twardo:

— Rozumiem, ale nie podzielam pańskiego zdania.

Szpary oczne pana Eustachego, dobrotliwe jakieś, czy szydercze—bo te uczucia miały na jego twarzy jeden niemal wyraz—zmierzyły się z niedwuznacznie wojowniczym spojrzeniem Budzisz. Chmara nachylił się ku panu Apolinaremu i dotknął obu jego ramion, napoty go klepiąc, napoty obejmując:

— Oj, niepoprawni wy, niepoprawni!

— Bo i nie widzę, z czego się tu poprawiać, dobrodzieju mój!—odpalił Budzisz, poklepując nawzajem Chmarę po żebrach.

Z tego klepania wyniknęła niby uścisk, który jednak udobruchał pana Apolinarego i przejął go niejaką otuchą, że można będzie z „generałem” dogadać się.

Tymczasem Chmara poszedł dalej pełnić swe obowiązki gospodarza domu, a pełnił je sam jeden, gdyż żona i córki nie zdawały się do tego powołanymi: kręciły się po salonie fraszobliwie, przysiadły się do kobiet w milczeniu. Nie bardzo nawet kto zwracał na nie uwagę.

Głównym zjawiskiem byli goście z Koryny. Nie obstępiano ich jednak tłumnie, jak to zdarzyłoby się napewno w odpowiednim wypadku w Królestwie, lecz oglądano przezornie, zaczem śmielsi zbliżali się do nich, lub odpowiadali na ich towarzyską inicjatywę.

Litawor Fedkowicz, dawniej już poznany w Wilnie, znajdował się i w Rarogach, dużo gadał na zebraniu ziemian o Inie i jego zastosowaniach, paradował swem pokrewieństwem z Eustachym Chmarą, ale nie wywierał pożądanego wrażenia. Utyskiwał przed Kazimierzem na brak przedsiębiorczości swych ziomek:

— Gdyby nie Eustachy, zasnęlibyśmy tutaj, panie łaskawy. Ot, w Królestwie—co innego. Co do eksploatacji moich wynalazków, liczę jedynie na Królestwo. Tam i człowiek ruchliwy, i kapitał ruchliwy.

Ale Kazimierza to nie wzruszało. Wyслуchał uprzednio różnych teorii Fedkowicza,



skontrolował je swem ścisłym wykształceniem fachowem i obrał wobec pana Litwora stanowisko wyczekujące, za przykładem Litwinów. Był nawet w tej chwili niezbyt zadowolony, że Fedkowicz znowu przyrzepił się do niego, i z radością zauważył skinienie księżnej Zasławskiej, która go zapraszała, aby przy niej usiadł.

Księżna, osoba wielkoświatowa i do hołdów przywykła, szukała w poważnym zebraniu odpowiedniej dla siebie zabawy; umiała bowiem „reprezentować”, ale lubiła się i bawić. Po pierwszym zaraz przeglądzie obecnych w Rarogach gości uczyniła wybór: Kazimierz Rokszycki wydał jej się z powodu swego jasnego, zdobywczego uśmiechu ciekawym.

— Cieszę się, że pan się zaprzyjaźnił z moimi chłopakami. Takie bisurmany, że rady z nimi sobie dać nie można. Może się na pana zapatrzeć.

— Bardzo mi pochlebia dobre mniemanie księżnej o mnie. Ale, jeżeli nie zapatrzyl się dotychczas na mamę, to nie są widocznie skłonni do naśladownictwa.

— To co innego. Synowie mogą kochać matkę, ale jej naśladować nigdy nie będą. Zresztą, kto panu powiedział, że ja sama nie jestem bisurmanem?

— Nie mogłem pani o to posądzać...

Księżna przybrała wyraz rozbawiony, dziewczęcy, który jeszcze jako tako jej się udawał. Objaśniła żart poprzedni:

— Wysłałem za mąż w siedemnastym roku życia. Trudno mi jeszcze przywyknąć do zupełnej powagi...

Ten urywek biograficzny był powleczoney lekkim smętkiem i zapachem perfum nieokreślonych, przypominającym Kazimierzowi Paryż, walca i różne wrażenia ze sfery lekkomyślnej. Księżna, choć minęła już czterdziestkę, miała, zwłaszcza przy oświetleniu wieczornem, twarz dosyć świeżą i szaroniebieskie, wymowne oczy. Całą jej postać zresztą cechowała mądrość światowa i wielka wprawa w obcowaniu z mężczyzną.

— Słyszałam od Chmary, że pan przyjechał tu studyować len. Czy to żart?

— Dlaczego żart?

— Bo pan wygląda zabawniej, niż taki człowiek od Inu.

— Może dlatego, że nie ciągle przędę, lecz się i raduję z bliższego poznania pięknej Litwy.

Księżna zmrużyła uśmiechnięte oczy, jakby zapytując, czy słowo „Litwa” oznacza kraj, czy Litwinki. Kazimierz mówił tak, że mogło znaczyć to i owo.

— Trzeba się dłużej tu zatrzymać—namawiała księżna—i poznać wszelkie gatunki.

— Gatunki Inu?

— Nie, batystu—rzekła księżna figlarnie i znowu przypomniała Kazimierzowi Paryż i wrażenia lekkomyślne.

— Wie pani, że batyst nie wyrabia się zwykle ze Inu? Jest to wogóle wyrób importowany.

— A! to mi wszystko jedno!—urwała i, zadarłszy ładny nos, przeszła do tonu książęcego:

— Pan przyjechał z Wiszun? Pan jest krewnym Budziszów?

— Apolinarego, z którym przyjechałem. Tutejsi pochodzą z innej linii.

— Aha, z innej linii...

Księżna zwróciła się do siedzącej w pobliżu pani Wiliaszew:

— *Ma petite chérie!* Daj mi ten gałganek ze stołu.

Pani Wiera Wiliaszew była zgrabną i dobrze ubraną brunetką, jednolicie śniadą na ładnej twarzy i na obnażonych ramionach. Zasługiwała się uprzejmością polskiemu towarzystwu, a z księżną Zasławską była w przyjaźni. Powstała żywo ze swego miejsca i zbliżyła się, podając żądany kawałek sukna.

— To pana zajmie—rzekła księżna—pani marszałkowa ma z panem Chmarą fabrykę tego... tego...

— *C'est du „samodiel” local*—objaśniła pani Wiliaszew.—*N'est-ce pas, que c'est bon?*

Rozpatrzono sukno między trzema pochylonemi głowami, i Kazimierz uprzejmie je pochwalił; poczem księżna, odrzucając niecierpliwie od siebie sprawę krajową, przeszła do osobistej:

— Głodna jestem, jak pies. Kiedyż oni dadzą jeść w tym domu?

— Czekają może na panią Krystynę?—rzekła pani Wiliaszew.

— Ale nie; Krysia nie przyjdzie. Widziałam ją: chodzi rozczochrana po swym pokoju i deklamuje.

— Księżno!—zawołała pani Wiliaszew—pan pewno nie zna pani Krystyny. Ładne będzie miał o niej wyobrażenie!

— Ach prawda! on jej nie zna. Ale słyszał pan o niej?

— Mówiono mi, że bardzo piękna.

— Nieużyteczna piękność. Pewno jutro pozna ją pan. Dzika kobieta. Jeżeli dozna pan łaski w oczach jej—a nie wątpię, że tak—może panu powiedzieć rzeczy zadziwiającej. Ale nie trzeba jej brać zupełnie na seryo.

— Mieszka tu stale?

— Oddawna, od czasów panieńskich. Wysła potem za Karola Chmarę, który się... nie udał. Zaraz po ślubie zaplątał się w jakichś nieszczęśliwych spekulacjach i po roku w łeb sobie palnął. O tem się oczywiście nie mówi. Jej nawet nie nazywają inaczej, tylko pani Krystyna. Z domu jest Sołomerecka, trochę nawet nasza krewna.

— A ten nieboszczyk mąż, o którym się nie mówi, jest blizkim krewnym gospodarza domu?

— Bratem. Pan Eustachy Chmara zajął się jej losem z poświęceniem. Opiekuje się nią i jej majątkiem ziemskim, który leży tu niedaleko, mocno szarpnięty przez tamtego... Gdyby nie pan Eustachy, nicby już dawno nie miała. To jest człowiek u nas uniwersalny. Gdy moim synom zabrakło ojca, wybrałam też pana Chmarę na ich opiekuna.

— Mówili mi o tem synowie księżnej.

— Ładnie pewno mówili! Oniby naturalnie chcieli więcej pieniędzy, a Chmara ze mną trzyma fortunę. To błogosławieństwo okolicy i kraju, ten człowiek!

Błogosławiony Chmara zbliżał się właśnie swym krokiem uroczystym wędrownego pomnika, magnetyzując już zdaleka wzrokiem księżną Zasławską.

— Wieńczymy tu gremialnie cnoty pana.

— Wolałbym z takich rączek wieniec za niecnotę—odrzekł Chmara, pewny swego wdzięku pod każdym względem.

— Gdzież zasady?

— Wolne żarty staremu śludze. Pozwoli mi księżna zaprowadzić się na wieczerzę?

— O pozwolę, nawet śpiesznie, bom dyabło głodna.

— Przepraszam za moją żonę, zawsze opóźnioną... A pani marszałkowa, jeżeli zechce, poda rękę temu młodzieńcowi.

Pani Wiliaszew podniosła żywo ładne, śniade ramię na ruch zapraszający Rokszyckiego i zjrzała mu w oczy, jakby zapytując, czy równie, jak ona, kontent ze swego miejsca przy wieczerzy.

— Czy pan jest nieubłaganym narodowcem?

— Przy kolacyi jestem socjalistą międzynarodowym.

Chmara z księżną Zasławską otworzyli pochód. Na końcu szedł Apolinary Budzisz, uhonorowany przez panią domu, jak się należało. Szedł z poczuciem swego stanowiska, ale mniej wesoło, niż młodsze pary.

## VII.

Towarzystwo, gwarniejsze po wieczerzy, zajęło znowu wleki salon. Pan Gotard Assernhof siadł do fortepianu i zagrał skoczne-go walca. Młodzi Zasławscy natychmiast chwycili do tańca pierwsze z brzegu panie i przetańczyli niebawem ze wszystkimi, które się zgodziły. Nawet Beno wykonał parę kręgów walcowych z matką, ku ogólnej ucieście. Gdy nie mówili nic, lecz kręcili się po salonie, młodzi książęta nabierali właściwego pozoru, sprawiając się zgrabnie i bardziej powściągliwie. Kazimierz Rokszycki zatańczył także parę razy.

Ale głównem źródłem wesołości była sama postać pana Gotarda Assernhofa, który grał i przyśpiewywał melodyę z jowialnym animuszem. Był to ziemianin z Inflant polskich, dobrej tuszy i zdrowej cery. Siwe włosy, strzyżone przy skórze lśniącej czaszki, rozrastały się bujnie potrójnym strumieniem srebra w wąsy i brodę. Zamiast krochmalonego kołnierza i mankietów nosił, przy fraku, karbowane batystowe kryzy, a na nogach miał lakierowane pantofle ze srebrnymi klamrami. Głowa przypominała Gustawa Adolfa w humorze po wygranej bitwie. Musiał to wiedzieć pan Gotard, bo postrzyżenie włosów i różne akcesorya stroju były bardzo szwedzkie.

Już przy wieczerzy zauważył go pan Apolinary i przepijał do niego sympatycznie, gdyż pan Gotard rozhulał się, prawil toasty wierszem i skupiał na sobie uwagę towarzystwa. Mówił wszystkim mężczyznom „ty” i wszystkich zniewalał ogarniającą wesołością.

(DCN)





FRANK SAVILE:

## Gość z powietrza.

— Oj! — zawołał głos jakiś, a po chwili znów: oj, oj! — z wyrazem gniewu i niepokoju.

Podsłoczyłem w siodelku, przy świetle bo-wiem gwiazd widziałem drogę białą i pustą, tak pustą, jak ciągnące się wzdłuż niej płaszczyny, zarośnięte wrzosem i jałowcem. A jednak głos dochodził z ciemności, pełen strachu nieokreślonego.

Nagle, na prawo ode mnie, zatrzeszczał krzak jałowca, poczem rozległ się szelest, jakby wleczono coś po ziemi, wreszcie przedmiot jakiś o czterech zakrzywionych hakach zakreślił pół łuku w powietrzu i uderzył o koło przednie mojego bicykla.

Wyleciałem, jak z procy, z siodelka i uderzyłem o sznur, zwieszający się przede mną w powietrzu. Przerażony, uchwyciłem się rękoma sznura i uczułem, że jestem wleczony w dzikim pędzie przez drogę, krzaki, wrzosa, brzozy, aż



Po chwili promień światła padł na postać, zwieszającą się z kosza

w końcu uderzyłem gwałtownie o wielki płot graniczny, zamykający przystęp do trzęsawiska.

W gałęziach wiązu, rosnącego pod płotem, słychać było trzask łamiącego się drzewa. Po chwili w skokach zabawnych wielki, okrągły przedmiot osiadł na ziemi, a za nim ruchoma, szeleszcząca masa opadała z wolna.

Jęki płaczliwe ustały. Zerwałem się na nogi i pojąłem nareszcie, co się dzieje. Przede mną widniał wśród ciemności balon kulisty, uciepiony drzewa i krzaków, szarpany przez wiatr i usiłujący zerwać więzy, łączące go z wielkim, okrągłym koszem.

Z kosza tego zwieszało się ciało ciemne. Rozpostarłszy ręce, zacząłem dotykać się go, lecz nie wywołałem nic, prócz jęków. Wówczas przyszła mi na myśl latarka przy bicyklu. Znalazłem ją, na szczęście, całą. Zapaliłem knot—i po chwili promień światła padł na postać, zwieszającą się z kosza. Jęknęła boleśnie i podniosła głowę. Był to mężczyzna lat średnich, chudy, w okularach na dużym nosie i z wąsem przystrzyżonym.

— Jeden ból w całym ciele! — skarżył się, trąc rękoma tułów i nogi, przyczem poznałem z akcentu cudzoziemca.

— Podziękuj pan Bogu, żeś wyszedł cało z tej przygody! — zawołałem gniewnie, widząc,

że prawie nowy mój bicykl skręcony był, jak stara klatka, wyrzucona na śmiecie.

— Czy jesteśmy blisko mieszkań ludzkich? — zapytał nagle.

— Mieszkam o ćwierć mili \*) stąd — odparłem, zdziwiony takim pytaniem.

— Sam?

— Dlaczego? — spytałem podejrzliwie.

Nieznajomy spuścił oczy i zaczął trzeć kolana.

— Jestem zgłodzony — objaśnił nareszcie — ale wolałbym raczej umrzeć z głodu, niż zostawić tutaj balon. Pomóż mi pan ukryć go i nie mów nic o całym tem zajściu rodzinie.

Wymówił słowa te głosem tak komicznie bojaźliwym, że roześmiałem się głośno.

— Bo dla mnie — dodał po chwili — to kwestya życia i śmierci!

— A więc wyłaż pan z kosza i chodź ze mną. Stara gospodyni moja śpi zapewne już od dawna. Nikogo nie zastaniesz pan w domu.

Podźwignął się i stanął, chwiejąc się na ziemi.

— Dostanę zatem co do zjedzenia, może nawet wódeczki — szepnął, ale wnet, spojrzawszy na balon, zawołał energicznie:

— Przedewszystkiem jednak skończmy z balonem.

Z godzinę może pracowaliśmy, zanim udało się nam odczepić powłokę balonową od krzaków i gałęzi, oraz złożyć ją w koszu.

— A teraz, gdzieby to ukryć? — rzekł, dysząc ciężko po upakowaniu kosza — ukryć raz na zawsze!

Przypomniałem sobie, że niedaleko istnieje rozpadlina, napełniona trzęsawicą, w której utonąła już niejedna owca nieszczęśliwa. Opisałem miejsce to nieznajomemu. Oczy jego błysnęły radością, podskoczył, przewrócił z wielkim wysiłkiem kosz balonu i zaczął toczyć go po ziemi, wzywając mnie, abym mu pomógł.

Kosz toczył się najpierw wolno i z trudnością po gruncie torfiastym, w miarę jednak jak posuwaliśmy go ku pochyłości, wiodącej w stronę rozpadliny, praca stawała się coraz lżejszą, wreszcie potoczył się już sam z całą szybkością i nagle runął w trzęsawicę, gdzie zaczął zuikać wśród szelestu i bulgotania rozstępującego się błota. Nieznajomy mój, uzbrojony w gałąź wiązu, przyspieszył tę czynność, pchając kosz całą siłą w głąbinę. Gdy zaś znikł już z powierzchni trzęsawicy ostatnie ślady siatki i powłoki balonu, odetchnął głęboko.

— Nareszcie! — zawołał i, ujawszy mnie pod rękę, podreptał przy boku moim do domu.

Gdy usadowił go w pokoju jadalnym i postawił na stole zapasy, znalezione w kredensie, rzucił się na nie, jak wilk zgłodniały. Niebawem pochłoniął całą niemal golonkę, pasztet i pół bochenka chleba, zapijając wszystko to chciwie wódką.

Wreszcie odsapnął, otarł usta i spojrzał w stronę kominka, gdzie leżały fajki moje i widniało pudełko z tytunem.

— Zapaliłby pan fajeczkę? — spytałem i podałem mu jedną z najlepszych, gdy zaś zapalił ją i rozsiadł się wygodnie w krześle, zawołałem wesoło:

— A teraz opowiadaj pan!

Spojrzał na mnie badawczo, gryzł przez czas dłuższy cybuszek fajki, w końcu jednak wybuchnął:

— Jestem Niemcem! Zgadłeś pan to już zapewne z akcentu mojego. Dzisiaj zrana byłem jeszcze w Mülhausenie, w Alzacyi.

— Co? — zawołałem zdziwiony.

— Tak, panie. Jestem kapitanem intendenty w pułku... mniejsza o to. W tem rzecz, że największy mój przyjaciel, nadporucznik, posiadający matkę wdowę i siostrę...

— Zakochała się w panu?

— Tak, panie! Otóż ów przyjaciel mój defraudował pieniądze pułkowe, a ja odkryłem defraudację...

— Rozumiem. Pozostawało panu tedy do

wyboru: albo wydać nadporucznika i postradać miłość siostry jego, albo też...

— Pokryć sumę sprzeniewierzoną. Tak też uczyniłem. Ale, niestety, nie posiadałem pieniędzy własnych, to też, gdy przyszło do sprawdzania rachunków, pułkownik odkrył wszystko. Wołał mnie tedy do pokoju swego, kładzie na stole rewolwer i rzecze:

— Jest jeden tylko sposób wyjścia z tej hańby. Zostawiam pana z tym oto rewolwerem. To rzekłszy, zabrał się do wyjścia.

— Więc miałeś pan — zawołałem — popełnić samobójstwo!

— Tak, miałem się zabić. Ponieważ jednak nie jestem na tyle głupi, chwytam tedy za rewolwer, wymierzam go do pułkownika, otwieram drugą ręką drzwi wielkiej szafy, w której wisiły jego mundury, i rozkazuję mu wleźć do niej, grożąc, że zastrzelę nie siebie, lecz jego. Biedak przestraszył się i oburzył ogromnie. Klnie tedy, na czem świat stoi, ale niema rady, musi wleźć do szafy. Wówczas ją zamykam drzwi na klucz i w nogi.

— Doskonale — zawołałem, klaszcząc w dłonie — doskonale.

— Wybiegając z domu pułkownika, słyszę trzask szafy i głucho okrzyki. Lecz oto na placu, przed domem, unosi się balon, przygotowany do wzlotu przez batalion aerostatyczny. Wskakując do kosza, odcinam sznury. Pułkownik wybiega z domu, krzycząc, by strzelano, ale żołnierze nie posiadają ostrych ładunków. Ja tymczasem wzbijam się w powietrze, wiatr dmie, unosi mnie na morze zgłodzonego i spragnionego, noc nadchodzi, spozstrzegam, że jestem nad lądem, ciągnę za wszystkie sznury, aż wreszcie natrafiam na sznur od klapy bezpieczeństwa, opuszczam się na ziemię, wpadam na pana, przewracam bicykl i oto jestem. Historia skończona.

Potępnym haustem wódki zwilżył sobie gardło.

— Dobrze — odparłem — ale dlaczegoż zależało panu tak bardzo na ukryciu balonu?

— Jaki? A ekspedycya? Wszak uchodzę w Niemczech za złodzieja. Gdyby dowiedziano się, gdzie balon spadł, zażądano by od rządu angielskiego, aby wydał mnie w ręce władz niemieckich. Lecz pan mnie nie wyda? Prawda? Pan dopomoże mi do odjazdu?

Powstał z krzesła.

— Dziękuję panu bardzo za pożywienie i trunek, ale odejść muszę. Gdzie znajduje się najbliższa stacya kolejowa?

— O sześć mil stąd, tam idąc w dół doliny. Lecz pociąg najbliższy odchodzi dopiero



— Jestem Niemcem!

\*) Angielskiej.



o godzinie 7-ej zrana. Połóż się pan zatem na kanapie i prześpij parę godzin.

— A gospodyni?

— Nie wstanie wcześniej, jak o siódmej.

Położył się tedy i zasnął wnet, jak dziecko. Co do mnie, to postanowiłem czuwać. Zapaliłem więc fajkę i, bujając się na fotelu biegunowym, rozmyślałem o przejściach wieczornych. Wkrótce jednak wszystko: balon, pułkownik, rewolwer, kapitan — zaczęło mieszać się w umyśle moim, i nie wiem, kiedy zasnąłem. Gdym się obudził, dzień był już jasny, a gościa mego i śladu nie było.

I byłbym może o nim zapomniał, gdyby nie pożyteczna instytucja prasy. Bo oto, przeglądając dzienniki poranne, znajduję w nich wiadomość, że znana i szanowna firma Smithson i Syn spr-

wiła sobie była balon dla reklamowania po kraju doskonałości sprzedawanego przez nią sera i herhaty. Niestety, wieczoru ubiegłego panujący wiatr silny zerwał balon reklamowy i uniósł go w strony nieznane. Pełen mądrości reporter nie zadowolił się wszelako tą jedną tylko wiadomością, przytoczywszy bowiem zupełnie trafnie przysłowie, że nieszczęście nigdy samo nie przychodzi, dodał wiadomość drugą o zniknięciu nagłem zarządcy firmy, Niemca, nazwiskiem Kocha, po sprzeniewierzeniu znacznej sumy pieniędzy. Kierunek ucieczki defraudanta był również nieznanym, ale policja znajduje się już na tropie!

Dostałem tak gwałtownego napadu śmiechu, że gospodyni moja przybiegła wystraszona do pokoju, badając mnie wzrokiem podejrzliwym, czy jestem przy zdrowych zmysłach.

Doprawdy, jeżeli panowie Smithson i Syn odnajdą zarządcę swego nie tyle dla wywarcia zemsty, ile dla poszukiwania na nim strat poniesionych, to gotów jestem odkupić go od nich. Bo, jeżeli człowiek, nagle rzucony o ziemię z wysokości nieznanych, zboląły od uderzeń, wystraszony i zdenerwowany, potrafił jeszcze tak użyć wyobraźni swojej, że mnie oszukał, to czegoż nie byłby w stanie dokonać w chwilach spokoju, wolny od kłopotów pieniężnych, jak również moralnych i żywnościowych?

Dostarczałbym mu *whisky* i pasztetu *ad infinitum* i stałbym się przy jego współpracownictwie największym powieściopisarzem nowoczesnym.

Przeł. S. BARSZCZEWSKI.

N A D E S Ł A N E .

11 medali, Dyplom honorowy 1908 r.

**APTEKA E. GESSNERA**

27. Jerozolimska 27  
w Warszawie

**HAEMATOGEN**

w płynie, pigułkach,  
tabletkach,  
czekoladzie.



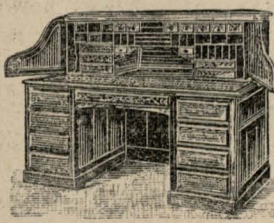
**„Konik“  
Mydło z mleka liliowego**

wytwarza różowy, młodociano-świeży wygląd, czystą, białą, jak jedwab miękką skórę oraz delikatną, ośniewająco-piękną cerę.

Dostać można wszędzie po 50 kop. za sztukę.

Główny skład na Państwo Rossyjskie:

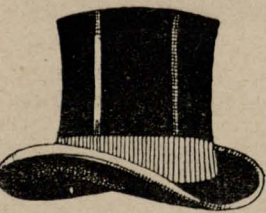
Biuro chemicznych preparatów St.-Petersburg, Newski 28, d. Singera.



KOMPLETNE

**Urządzenia biurowe  
KAROL F. FIŚER**

Warszawa, Mazowiecka 10.



**BIELIZNĘ MĘZKĄ**

białą i kolorową z c. k. nadw. fabr.

V. Suppaucic, poleca

**ZDZISŁAW ZDANOWICZ**

W KRAKOWIE, ULICA SŁAWKOWSKA I. 3.

DLA PRENUMERATORÓW „TYGODNIKA”

mamy na składzie

**Okładki ozdobne DO PÓŁROCZY „TYGODNIKA”**

po rub. 1, z przesyłką i opakowaniem rub. 1.35.

**piękne artystyczne teczki**

do albumu „DUCH REWOLUCYONISTA” A. Kamińskiego

po rub. 2, z przesyłką i opakowaniem 2.60.

Do cyklu „BOŻY ROK” Piotra Stachewicza

po rb. 1.50, z przesyłką i opakowaniem rb. 2.

PASTILLES

DE

**TAMAR  
INDIEN  
GRILLON**

PARIS, 33, RUE DES ARCHIVES.

We wszystkich składach aptecznych i aptekach

Owoc przeczyszczający

PRZECIW

**OBSTRUKCYI**

Sprzedaje się w pudełkach po 12-cie pastylek i pół-pudełkach po 6 pastylek z podpisem

**MEBLE**

**ZAŁĘSKI i S-ka**

Warszawa, Erywańska Nr 2,  
parter, 1 i 2 piętro. Telefon 16-39. Rok założ. 1870.

Magazyn Sukien i Okryć Damskich  
Władysławy Kwiatkowskiej  
Przeniesiony z Chmielnej 9

na Plac Św. Aleksandra 14 (Telefon 7383)  
Poleca gotowe: Suknie wizytowe, Kostiumy angielskie, Bluzki od skromnych do najstrojniejszych, Spódnice do bluzek, Paski, Żaboty. Zamówienia przyjmują się z własnych i powierzonych materiałów.

Nowe maszyny  
DO BIELENIA I DEZYNFEKCYI

„APOLLO”

nadzwyczaj dogodne w użyciu, nieodzowne w każdym gospodarstwie.

**PASY SKÓRZANE**

oryginalne angielskie w najlepszych gatunkach, poleca

**ALFRED GRODZKI**

Warszawa, 33, Senatorska.

**LECZNICA DLA DZIECI**

D-ra Juliana Gawrońskiego

Plac Ś-go Aleksandra 18 (róg Brackiej),  
telefon 40-33. Przyjęcia od godz. 9 do 11 rano. Porada 50 kop.

FORTEPIANY, PIANINA, PIANOLE  
ORGANY, MELODYKONY  
**GEBETHNER i WOLFF**  
Warszawa, Krak.-Przed. 17

**LUDWIK SZUFA  
KRAWIEC**  
KRAKOW TELEFON 671



# S. GLIŃSKI 41 Nowy-Świat 41

Poleca: Pastę „BON TON,” Szuwaks, Smarowidło i Glazurę do obuwia, Pomadki, Proszki i Płyn „FENOMEN” do czyszczenia metali, Atramenty, Tusze, Gumę arabską, Oliwę do maszyn i t. p.

**VENUS** puder uznany na wystawach higienicznych za **K**ONSERWATOR wzmacnia włosy, powstrzymuje wypadanie takowych, pobudza do porostu, usuwa łupież i mikroby 80, 1,25 i 2 rub, 40 kop  
**AGATOL** proszek i eliksir do **ZĘBÓW** z silnym aromatem, najlepsze z dotychczas znanych.  
 Poleca Laboratorium St. GÓRSKIEGO, LESZNO 12, Telefon 52-34.

Najlepsza Pasta do Obuwia „INTRYGANT” żądać wszędzie  
 H. Trembińskiego



**E. UNIERZYSKI**

CHMIELNA Nr 3

poleca Skórzaną galanterię i przybory podróżne.



DLA KASZLĄCYCH I OSŁABIONYCH  
 EKSTRAKT I KARMELKI

## LELIWA

w Warszawie, ulica Zielna Nr 21, Telefonu Nr 59-54.  
 SPRZEDAŻ W SKŁADACH APTECZNYCH I APTEKACH.

## HOTEL SAVOY

W WARSZAWIE, NOWY-ŚWIAT

Elektryczność, Winda, Kąpiele, Restauracja pod własnym zarządem. Centrum miasta.

Farbiarnia Parowa, Pralnia Chemiczna i Dezynfekcja

## Ch. GEBER w Grochowie

Magazyny w Warszawie: Niecała Nr 9; Nowy-Świat Nr 49; Sienna Nr 2a; Leszno Nr 4; Długa Nr 19; Chłódna Nr 18; Dzika Nr 7; Praga Brukowa Nr 32. Filie: Łódź, Zielona Nr 5; Częstochowa, II Aleja Nr 34.

Lekarz dentysta **STEFAN ŻYCKOWSKI** NOWOGRODZKA № 26  
 Telefonu 167.49.

NARZĘDZIA LEKARSKIE,  
 ARTYKUŁY LECZNICZE I OCHRONNE,  
 WYROBY NOŻOWNICZE

**Bronisław Krug**

Warszawa, Bracka 18, telef. 35-47.

Ceny fabryczne. Wysyłka za zaliczeniem.



**SALON „ARS”**

Kraków, ulica Św. Jana 1 (I piętro).

Nieustająca wystawa dzieł sztuki i sprzedaż obrazów najznakomitszych artystów polskich. Salon otwarty codziennie od 10 do 1 i od 2 do 5.

**HENRYK MICHAUX**

LEKARZ DENTYSTA

Warszawa, Foksal Nr 15. Telefon 69-80.

## SERWISY STOŁOWE

Rub. 35, 40, 45, 50, 55, 60, 65 i t. d.

SKŁAD I WŁASNA MALARNIA PORCELANY,

SZKŁA I FAJANSU

STANISŁAWA GÓRSKIEGO,

Nowy-Świat 37. Tel. 3631. Proszę zwrócić uwagę na firmę i adres

Poleca ogromny wybór serwisów stołowych, platerów, szkła, majoliki, terrakoty. Ozdoby do mieszkań i ogrodów. Własna malarnia wykonywa artystycznie całkowite wyprawy ślubne oraz fotografie wieczne na porcelanie. **UWAGA:** Każdy kupujący serwis porcelanowy otrzymuje bezpłatnie komplet dobrego szkła na 12 osób.



Wyprzedajemy z dawnych zapasów

**5.000 gąsiork. wina węg.**

wytrawnego, średniego lub słodkiego po wyjąkowej cenie rub. 1 kop. 20.  
 Dostawa 15 gąsiorków franko.

Skład Win i Koniaku

**Braci KEMPNERÓW**

Długa Nr 5. Telefonu Nr 772.

**J. MIECZKOWSKI, Fotografia**

Marszałkowska III. Telefon 16.81

**Księgarnie Gebethnera i Wolffa**

W WARSZAWIE,

Krak.-Przed. 15 Nowosienna 9

pośredniczą

**w prenumeracie pism**

krajowych i zagranicznych

**po cenach redakcyjnych.**

## ODPOWIEDZI.

*P. J. Iwanowskiemu.* Katalogi heraldyczne znają już siedm rodzin tego nazwiska, różnego pochodzenia i pieczętujących się różnymi herbami: Łódzia, Odrowąż, Ogończyk, Rogala z odmianą, Rola i Slepowron. O którą z nich Sz. Panu idzie?

*Igarowi.* Nie dla nas.

*P. Izie Wasutyńskiej.* Tak się właśnie ten autor nazywa.

*P. Bronisławowi Wiśniewskiemu.* *Wiestnik Jewropy, Istoriceskij Wiestnik, Minuwisze gody, Nowoje słowo, Russkoje bogatstwo, Russkaja Mysl.* Co do środków, o które Sz. Pan zapytuje, doktorzy zalecają przeważnie „Haematogen” Hommela. Bez porady lekarskiej nie radzimy używać. Ceny nie znamy.

*Nija.* Legendy nie wydrukujemy, choć nie jest ona bez zalet.

*P. Z. W. Maz. w M. „Somo-Sierra”* nie posiada ani szerszego, ujmującego liryzmu, ani też siły i plastyki epickiej. Nie dla nas.

*P. Karolowi Kwaś. w Krakowie.* Ani rymu, ani stylu, ani sensu.

*Świerszczowi.* W wierszu Sz. P. o wiele więcej rozpaczy i zwątpienia, niż talentu.

*P. Stanisławowi Piwowarskiemu w Krakowie.* Sądzimy, że Sz. P. najlepiej się upewni, jeżeli złoży odpowiednie podanie (z 2 markami stemplowemi po 80 kop.) na ręce Kuratora Warsz. Okręgu Naukowego.

„69”. Wierszowi Pańskiemu przyznać należy pewną gładkość i dźwięczność, ale nie możemy też wstrzymać się od zwrócenia uwagi na pewne usterki (np. rymy pospolite, a nawet gramatyczne).

*J. R.* Nie skorzystamy, z powodu słabej formy.

*P. M. Baw. w Łodzi. Tygodnik Ill.* wraz z przesyłką pocztową do Łodzi kosztuje 12 rub., za 12 tomów książek dopłaca się 2 rb. i 1 rb. za przesyłkę poczt. książek. Książek oprawnych nie mamy. Księgarnie i agentury łódzkie, które sprowadzają pisma koleją, pobierają prenumeratę kwartalną po cenie warszawskiej z małą dopłatą za odnośnienie i koszty administracji.

*P. Witoldowi Lubiczowi.* Młodzieniec ów niech się jeszcze uczy, już nie tylko wersyfikacji, ale gramatyki i pisowni, a nie będzie pisał „w muzgu” i „ja zagrziebie”.

*P. Władysławowi Szerbie w Kusze.* Nie wiemy, o jakie malarstwo Sz. P. idzie: artystyczne, czy techniczne. Prosimy o wyraźniejsze sformułowanie zapytania.

*P. W. Spakowi.* Ostrzegamy; jest to niezawodnie nowa forma wyzysku naiwnych czytelników.

**Bracia ŁOPIEŃSCY POLECAJĄ BRONZY SALONOWE I KOŚCIELNE MAGAZYN KRAKOWSKIE PRZEDMIESIE Nr 15 Tel. 21.90**

Redaktor: Dr JÓZEF WOLFF

Wydawcy: GEBETHNER I WOLFF

Redaktor przyjmuje we czwartki i piątki, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materyałów rysunkowych, nadesłanych do redakcji, nie zwraca się

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa.